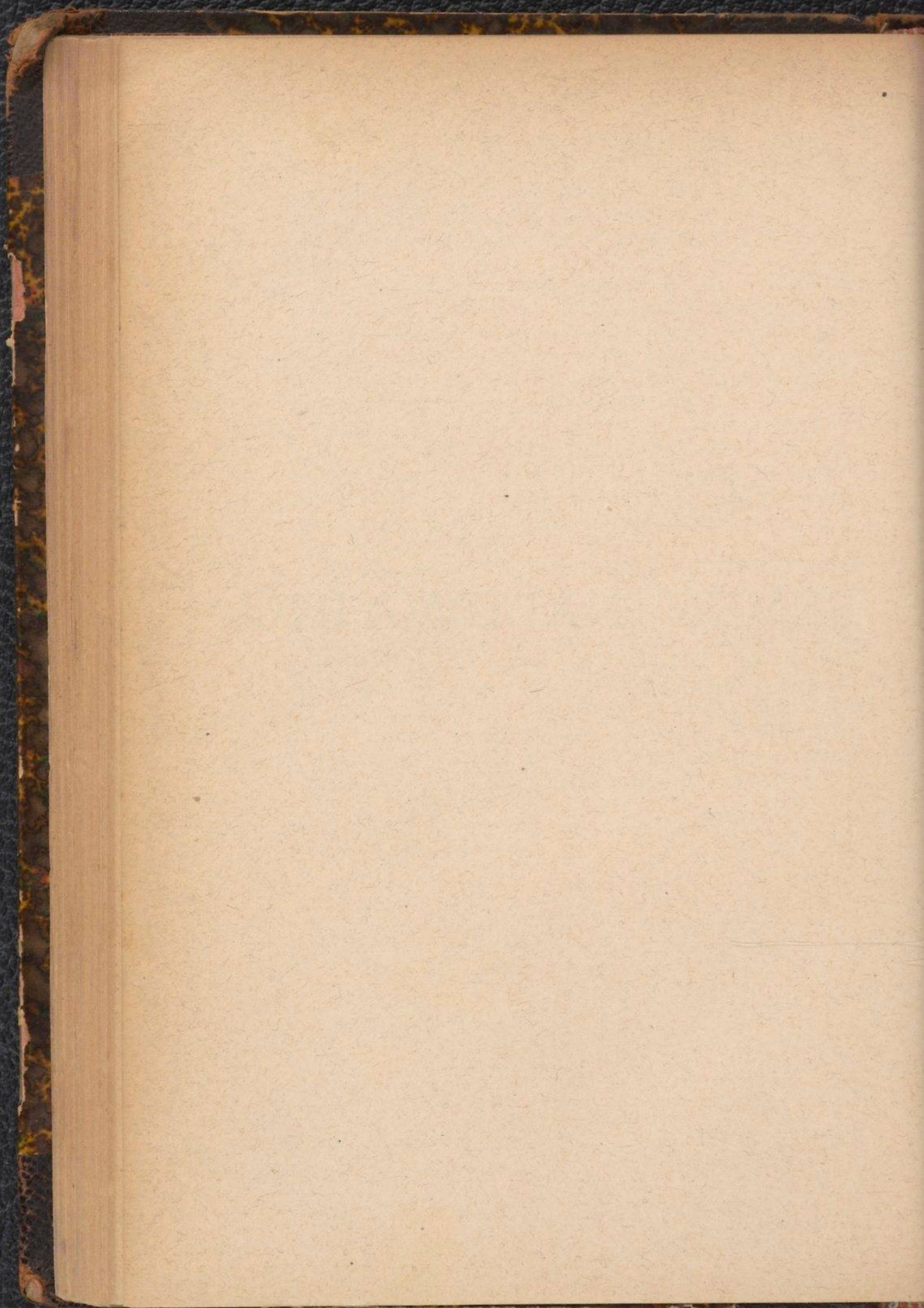


SEMEN NALEWAJKO.

---







## I.

„Nalewajki lotne czajki płyną Dnieprem już“, mówi nasz śpiewak ukraiński, chcąc w dumce uwydatnić ruchliwość i przedsiębiorczość Kozaka. Powiedział może zamało; człowiek bowiem, którego dzieje pobieżnie naszkicować tu chcemy, był wielce wybitną postacią; dziki, odważny, wytrwały, swobodny jak wiatr, bujający po kresach, z chłopacza mieszczanina *watażka*, z *watażki* więzień stanu, a choć od początku do końca łupieżca, zawsze przecież tem się odróżniał od innych, że swawola jego nie taka była złośliwa. Swawola to była dla swawoli, rozpasanie szlacheckie. Zapatrzył się na herbowych i od nich zapożyczył brawury. Nie Polak to, ale Zaporoziec, poprostu partyzant, dowódca *wolnicy*. I z Niżowcami się bije i z Lachami się boryka, Siedmiogrodzianom na pomoc śpieszy, i tak ich przeraża swoją pomocą zbójceką, że wolą już z nieprzyjacielem niżli z takim sojusznikiem mieć do czynienia. A co już Tatarom, Turkom, Wołoszy to się dobrze dał we znaki. I pole jego popisów nielada; jakich mil 200 od północy na południe i tyleż od zachodu ku wschodowi. Nie bez przyczyny Górnicki stawiał Nalewajkę w rzędzie najzdolniejszych wojowników.

Na wstępie przyznać należy, że okoliczności sprzyjały wystąpieniu Nalewajki. Jeżeli stanowisko Polski nazewnątrz przedstawiało się świetnie, to wewnątrz, przynajmniej na wschodniej i południowej granicy rzeczy szły niebardzo po-



myślnie... Istotnie Rzeczpospolita pośród państw europejskich stała u szczytu chwały i wziętości; po królu bitnym i rycerskim, nastąpił „pan z bożej łaski“, pomazaniec, który właśnie korzystał z owoców pracy swego poprzednika: tamten zasiewał z mazołem, a ten na plon gotowy przychodził. Choć przy wstąpieniu jego na tron Turcy się odgrażali, a Tatarzy niszczyli spory kawał kresowych województw, to były to przecież tylko sprawy powszednie. Zato w stosunkach z państwami cywilizowanymi majestat polski wspinał się przedstawił, Rzeczpospolita imponowała bitnością i bogactwem. Zygmunt III, udając się w 1593 r. do Szwecji, otoczony był licznym poczem pierwszorzędnych dygnitarzy, pośród których znajdował się i nuncyusz apostolski Malaspina, i kardynał Andrzej Batory. Stany wprawdzie na opędzenie kosztów rocznej podróży wyznaczyły tylko 300.000 zł., ale suma owa wyobrażała dzisiejszych trzy miliony; to też aż 50 okrętów wiozło monarchę polskiego do jego ojcowizny. A kiedy kwestya wschodnia, istniejąca w Europie od czasu wkroczenia Turków do Carogrodu, podniosła głowę nanowo, to Rzeczpospolita miała w niej głos przeważny. Na sejmie 1595 r. prezentowali się posłowie papiescy, cesarscy, od Rzeszy siedmiogrodscy, wołoscy, multańscy, a przed rokiem i sułtan i chan krymski przysyłałi gońców z prośbami. Rozpoczęły się zapasy między Rudolfem a Portą, państwa więc ościennie rade się były dowiedzieć, po czyjej stronie stanie Polska. Zabiegano o łaskę naszą, a na szali wypadków słowo gabinetu krakowskiego, że już dzisiejszego użyjemy stylu, znaczyło wiele, bo je snadno poprzeć można było imponującą siłą zbrojną. Toż i na ucztach w państewkach Rzeszy, kiedy wesele się odbywało, proszono na nie i króla polskiego, a jego delegat zwykle po cesarskim najpryncypalniejsze zajmował miejsce.

Tak było nazewnątrz. W kraju jednak już się pewien rozkład dawał uczuwać, a prawdziwie Achillesową piętą były dla nas kresy. Bezprawie i nieład doszły na nich do najwyższego stopnia, stany zwały ciężar obrony granic na starostów, i szło to jeszcze dość dobrze, dopóki nieprzy-



jaciel z dzikich pól nadchodził, ale kiedy podnosił się ów wróg domowy, znany w dziejach pod nazwą Niżowców albo „kup swawolnych“, wówczas trudności się mnożyły, bo wszystkie rotty starościńskie składały się z ziomków i towarzyszy zbuntowanych rabusiów. Wreszcie, co gdzieindziej nazywało się łupiestwem i rozbojem, tutaj uchodziło za drobną swawolę. I przybysze i tubylce, wychowani w szkole zapasów z dziczą tatarską, tracili często poczucie sprawiedliwości; prawo choć piękne, nie funkcjonowało nawet po grodach, ograniczając się protestami i to w bardzo skromnej formie. Nikt nie prześladował winowajcy, sprawa się wlokła, dopóki najazd nowych hord tatarskich nie położył jej końca, równie bowiem skorym w jego odparciu okazywał się i pozrywający i pozwany, i częstokroć walczyli obok siebie, odbijając lud biedny z jasyru i dobytek gnany pod Białogród, albo jeszcze dalej. Swawola więc rozwieliżniała się i Rzeczpospolita dopiero wówczas zamyślała o ujęciu jej w kluby, kiedy na kraj ściągnęła gniew Dywanu i groźby tatarskiego chana.

Zygmunt III użył dla poskromienia rozhukanych kresowców surowych przepisów, które nie weszły w wykonanie a rozdrażniły zuchwałych aspirantów kozackiego chleba. I istotnie konstytucya sejmu warszawskiego z roku 1590, nosząca skromny tytuł: „Porządek z strony Niżowców i Ukrainy“, należycie przeprowadzony t. j. ściśle wykonana, groziła zupełną zagładą Kozactwu. Nie wstrzymało to atoli rozruchów, dowodem tego Kosiński.

Po zgonie watażki nowy sejm nową wydał uchwałę (1593) „o Niżowcach“, mocą której Kozacy zpod prawa zostali wyjęci, uznani za zdrajców i nieprzyjaciół ojczyzny. Ale i to nie zażegnało burzy, przeciwnie, niebawem nadciągnęła nowa zamieszka — unia religijna, tak niefortunnie i niepolitycznie poczęta, że najpotężniejszy i najwierniejszy syn Rzeczypospolitej w tej stronie, wojewoda kijowski, przrzucał się do przeciwnego obozu. I on, pogromca swawoli pod Kosińskim poczętej, teraz tolerować uważał za słuszne



nowe jej wybuchy pod chorągwią Nalewajki, choć jedna i druga podobniuteńkie były do siebie jak dwie siostry rodzone.

Po tem wszystkim, cośmy powiedzieli, czytelnik przyzna, że ówczesny stan rzeczy sprzyjał watażkom, próbującym szczęścia w ostatnich latach XVI stulecia.

---



## II.

Semen, Semerij, Semexij Nalewajko przez ciemny gmin „*carem Naliwajem*“ przezwany, pochodził z bardzo ubogiej rodziny. Bielski utrzymuje, że z Kamieńca; nie przeczymy temu, pierwsze jednak ślady osiedlenia się jego ojca spotykamy w Husiatynie. Łatwo się mógł przenieść z warowni kresowej do osady nad Zbruczem. Marcin Kalinowski bowiem, dziedzic Husiatyna, człek skrzętny, posiadający już spory majątek, bo aż trzy sioła w okolicy miasta, zapraszał zdolniejszych rzemieślników do siebie, zapewnieniem „słobody“; żywił zaś ruski wypierany ze stolicy województwa przez kolonistów armeńskich, bez szemrania ustępował z placu. Czy w ten, czy w inny sposób, dość że rodzic Semena, kuśnierz, posiadał w Husiatynie kawałek gruntu, a butny znać był chłop i hardy, bo miał odwagę spierać się z szlachcicem, dorabiającym się mienia na kresach, za co też Kalinowski uniesiony gniewem, okrutnie sobie postąpił. „Ojcu memu — pisze późniejszy watażka — któregom jednego miał, bez żadnej przyczyny żebra pokałatał, a za takowym mordem ze świata zgładził“. Po takim tragicznym zgonie, sieroty ruszyły w świat szeroki. Działo się to po 1567 roku, bo do tej doby Husiatyn był w posiadaniu Świerszczów. W lat 13 potem rodzina Nalewajków posiada na przedmieściu Ostroga, od strony Zasławia położonem, ubogi dwo-



rek, w którym mieszka matka wdowa, trzech jej synów i córka Elena. Najstarszy z nich Damian, średni Semen, bawiący się handlem, najmłodszy kuśnierz i szynkarz zarazem. Pierwszy kształcił się w Wilnie, a zostawszy kapłanem, pracował pilnie przy Iwanie Fiedorynie, drukarzu odbijającym słynną biblią w tłoczni ostrogskiej. Podniesiony do godności protopopa, zdobył względy patriarchy Jeremiasza, goszczącego na Wołyniu, a za jego pośrednictwem został spowiednikiem ks. Konstantego Wasila. Stanowisko zaszczytne — łatwo więc mógł podniósłszy się tak wysoko i rodzinie pomagać. Nauki posiadał sporo jak na czasy i stosunki ówczesne, pisał, przekładał dzieła treści religijnej, odznaczał się wymową, więc i braciom światła zapewne udzielał. Najmłodszy Nalewajko nie porzucił rzemiosła, średni zaś wyrzekł się kupczenia i zaciągnął do milicyi ks. wojewody kijowskiego. Został Kozakiem i dowódcą niewielkiego oddziału. Młody, liczył bowiem wówczas lat 30 ledwie, piękny, śmiały, z puszgarską sztuką obeznany, stał się potrzebnym, a wnosząc z dwóch listów, jedynej piśmiennej spuścizny po watażce, dotąd nam znanej, przypuszczać należy, że posiadał i trochę nauki... Pierwsze swoje wystąpienie tak sam maluje: „Gdy Jegomość pan wojewoda kijowski, za ukrzywdzeniem swem od nieboszczyka Kosińskiego i przeciwko Kozakom wojnę podniósł, ja będąc od pana wojewody na tę służbę użyty, podjąwszy się i obiecawszy słowem cnotliwym, służyłem mu, jako się mnie rycersko godziło, dosyć przystojnie i znacznie“.

Miał już tedy stanowisko, znaczenie pośród swoich, bo się i przedtem „bawił, za wielu hetmanów kozackich, w wielu miejscach w ziemiach nieprzyjacielskich“. Poprostu ćwiczył się na Niżu w sztuce wojowania, wyszedł ze szkoły dobrej, ale też i uczniem był zdolnym. Zaporozie jednak nie mogło mu przebaczyć owej wyprawy przeciw Kosińskiemu, swojemu atamanowi, i z pewnem niedowierzaniem spoglądano zawsze za porohami na wołyńskiego Kozaka. Umizgi ciągle Semena nie mogły przytłumić nieufności, jaką na wstępie swej kariery obudził.



Nie potrzebował jednak Nalewajko szukać ochotników daleko; materiał palny znajdował pod ręką, na miejscu, a dostarczały go i Kijowskie i Braclawszczyzna. Resztki rozpedzonych przez Ostrońskiego rabusiów i co chwila zwiększający się kontyngens niezadowolonych sług rękodajnych i drobnej szlachty, która tu spływała z całej Rzeczypospolitej, nie cofały się przed zaprosinami. Na Pomorzu, w Wielkopolsce, nad Niemnem, krążyły fantastyczne opowieści o cudach i bogactwach ziem, rozścielających się u ściany tatarskiej. Pod ich urokiem podnosiły się gromady zagonowego ubóstwa i wędrowały na wschód daleki, przekonane najmocniej, że dość tylko dostać się na miejsce, by opływać w rozkosze a zbytki. Aż tu naraz odczarowanie! Kraj wprawdzie piękny czekał na przybyszów, ale stał pustką straszliwą; wszystko należało zdobywać szablą, nawet pługa z szablą w garści pilnować. Zawiedzione nadzieje wywołały zniechęcenie — i oto nowy kandydat do zaciągu kozackiego. Na Wołyniu drobiazg ten przyjmował służbę po większych dworach, ale nie zaprawiony do ciężkiej pracy, rozleniwiały i zepsuty ciąglą włóczęgą, najczęściej zarywał coś u chlebowdawcy — i znikał; będąc zaś z prawem w rozterce, mógł tylko na Niżu albo u miejscowego watażki szukać przytułku, i znajdował opiekę a niekiedy i dostatek, jeżeli zręcznie umiał rabować.

Takichto ludzi werbował Nalewajko, na czele takiego oddziału ofiarował swe służby powolne księciu wojewodzie, a pewnie hojnie od niego, jak i wszyscy współuczestnicy obdarowany, zyskiwał niejako sankcyą i patent na dowódcę. Ale wojenka zbyt prędko się skończyła a Nalewajko na miejscu nie miał co robić, na Zaporozie nie miał poco śpieszyć, rachunków dawnych z Niżowcami nie skończył. Wypierali się go mołojcy; „nie nasz on“, powtarzali ludziom dopytującym się o Semena. Niedługo myśląc, Nalewajko na dzikie pola podążył. I chęć zysku i współzawodnictwo gnało go na tę drogę. Na ostrowach Dnieprowych atama nował Hrehory czy Archory Łoboda, rycerz starego zakonu, niejako uprawnionego przez Rzeczpospolitą, naczelny wódz



Siczowców, rejestrowego wojska. Robił on szczęśliwe wy-cieczki, i Kijów zagarnął jeszcze dawniej za czasów Kosińskiego, rekrutował ochotników w okolicy miasta, a kiedy Kosiński poległ, w jesieni tegoż 1593 r. poskoczył w step, wpadł do Jurgewa (Dżurdżewa) tuż obok Białogrodu położonego, a wpadł podczas jarmarku, zrabował miasto i potem wedle modły kozackiej rozpuścił zagony i zręcznie umknął ze zdobyczą.

Dlaczegoż nie spróbować? I Nalewajko poszedł w ślady zaporoskiego atamana na wiosnę 1594 r. Pierwsza to jego znaczniejsza wyprawa, a wrócił z niej obciążony łupami. Wówczas wysłał poselstwo na Niż (na początku czerwca) a poselstwo to spotkało się z Lasotą, wysłannikiem niemieckim, który dążył także na Zaporozie, wioząc mołojcom trąby i kotły srebrzyste, chorągwie i pieniądze, zapraszając „panów braci“ do wojny z niewiernymi. W orszaku Lasoty znajdował się Chłopicki, szlachcic z Wołynia, typ awanturnika XVI wieku, niegdyś dworzanin (komornik) Stefana Bato-rego, po jego zgonie malkontent, wkońcu agent dyploma-tyczny cesarza Rudolfa do Siczowego bractwa. Znał on Kozaków, nieraz ich dawniej odwiedzał, a przy Lasocie pełnił urząd tłumacza czyli dragomana. Ustawicznie uwijał się Chłopicki w ziemiach polskich, aż się do kozy dostał na Szlązku; stany pragnęły pokoju z Portą, a on burząc Zaprozże w interesie Niemiec, zagrożonych wojną turecką, pokój ten na szwank narażał. Ale i z więzienia potrafił się wydostać szczęśliwie Chłopicki, choć już potem był ostrożniejszy.

Lasota wspomina w dzienniku swojej podróży, że na Bazawłuku u Czortamłyka, widział dwóch mołojców ukraińskich, delegatów Semena. Semen zaś „na czele 2000 Kozaków w pogoni za Tatarami do samej Wołoszczyzny zabrał im 3 do 4 tysięcy koni, pragnie więc z zdobyczą podzielić się z Zaporozcami, gotów darować im 1500 do 1600 wierzchowców, z warunkiem, by odtąd przyjaźń między nimi była trwała. Że jednak szlachetne rycerstwo po-



dejrzewa go, osobiście przeto nie omieszka stanąć pośród Rady, złoży własną szablę w jej ręce i wytłómaczy się z przeszłego postępowania. Gdyby i po tem wszystkim szlachetna Rada winnym go uznała, wówczas szablą tą samą głowę sobie uciąć pozwoli“.

Odtąd stosunki wołyńskiego Kozaka z Zaporozem, jeżeli nie były szczere, zawsze atoli znośniejsze niż przedtem...



### III.

Resztę 1593 r. przepędził Nalewajko w Braclawskim; stacye tu sobie wyznaczył, prowianty ściągał, zbierał stada koni, trzody wołów i „jałowic“ – słowem poczynał po nieprzyjacielsku.

Rzeczypospolitej nie było pilno dowiadywać się, co tam na kresach się dzieje. Żółkiewski, „stróż granic koronnych“, zakłopotany rabunkami nieopłaconego żołnierstwa w województwie ruskiem, zwrócone miał oczy na Wołoszczyznę, a w ciągu października i listopada robił ciągłe przemarsze z Winnik do Baru, z Baru do Hawryłowiec. Nareszcie rozlokował się pod Żwańcem, naprzeciwko Chocima, kędy „panowie województwa podolskiego z hospodarem wołoskim umówili sobie czas zjechania się“. Hetman ściągał rotę sąsiednich ziemian „dla powagi Rzeczypospolitej i dla postrachu nieprzyjacielowi“. Na jego wezwanie stawił się Szczęsny Herburt w Wojtkowcach, o pół mili położonych, a Taranowski i Zebrzydowski wyciągnęli się wzdłuż granicy. Przybieżał tu i pan Struś, starosta braclawski, ale z małym orszakiem i lamentem wielkim „na swawoleństwo i bunty złych chłopów“, opowiadając, że się do grodu dostać nie może, na czem sprawiedliwość cierpi niemało. Doświadczony wódz lekceważył ruchawkę kozacką, zalecał umiarkowanie, a zarazem zdał sprawę hetmanowi Zamojskiemu: „Mam sprawę od Jego M. P. starosty,



że tam siła ich słaba, jeno upór wielki. Będę jednak kuśił sposobów, ażeby dobremi środki mogli być ujęci“.

Czy pośredniczył — o tem śladów w dziejach nie mamy. To tylko pewna, że Nalewajko w lipcu 1594 r. podniósł się z chwilowego legowiska i na czele kilkutysięcznej zbieraniny, złożonej z samych prawie wywołańców, poleciał znów w stepy przez Tatarów zajęte. „Nie chciał próżno leżeć“, w ziemiach Rzeczypospolitej, jak się sam tłumaczył przed Zygmuntem, więc uderzył na wroga „krzyża świętego“, tem bardziej, „że pohańcy na swoim nieprzestając już na tej tam stronie, na granicach państwa (Polski) gospodarstwem się bawić i chleba już robić byli poczęli“. Pomknął między Białogród i Bender zwykłym szlakiem kozackim; Bender spustoszył, a nie mogąc zdobyć zamku szturmem, puścił zagony po kraju, „pięćset kilkanaście siół ogniem wniwecz obrócił“, a w łyka wziął „Turków, Turkiń, Tatarów, Tatarek 4000“. Powracających jednak z wyprawy spotkał gospodar wołoski i odbił wszystkich; „poganinowi pomoc dał“. Działo się to na przeprawie dunajskiej. Kozacy odparci pogrozili Multańczykom: „Pamiętajcie — wołali — zrobimy i my wam psotę — dajemy na to słowo rycerskie i dotrzymamy go święcie“. Nalewajko jednak musiał się cofać o głódzie i stracił przeszło 1500 ludzi. Na początku września był znowu w Braclawiu, gdzie komendę rozpuścił, a sam z nieliczną drużyną przytulił się u miejscowego burmistrza Tykowicza, Rusina duszą i ciałem.

Właśnie w tym czasie ziemianie zjechali na roczki, przypadające 6 września, ale pisarz grodzki p. Bajbuza uprzedził ich, że watażka odgraża się na szlachtę i sąd zapewne rozpędzi.

Herbowni, a było ich ledwie kilkunastu wynieśli się natychmiast, miejscowy bowiem starosta, pan Struś, nie posiadał siły potrzebnej dla dania odporu nieproszonym gościom. Udali się do Winnicy o sześć mil odległej na wybory trybunalskie (29 września), radzili i sejmikowali dni kilkanaście, nienagabywani od nikogo. „Cóż to, ozwał się ktoś



z wyborców, dlaczegoto nie mamy powrócić do stolicy województwa dla odbycia tam kadencji sądowej?" Przeworniejsi radzili wprzód dostać języka o Nalewajce i postanowiono wysłać do Braclawia w poselstwie p. Czurykowskiego, który pojechawszy, jakby wpadł w wodę. Zniecierpliwiona drużyna sądownicza podążyła za nim, noc ich zaskoczyła pod miastem, więc nad Bohem, na gruntach p. chorążego braclawskiego rozłożyła się obozem. Nad ranem gwałt! Napad niezwykły. Oto burmistrz z oddziałem „tego niezbożnego człowieka Nalewajki“, ubiegł rozespanych; „pana Iwana Hrehorowicza Mikułoszkiego, okrutnie na śmierć zamordowali, kilkunastu służby zabili, niemało szlachty poranili, potłókli, posiekali; majątności wszystkie, szaty, papiery, gotowe pieniądze i konie zabrali“.

Temi słowy przekazały nam księgi grodzkie łuckie obraz rabunku i mordy, dokonanego na ziemianach, zbyt ufnych w własne siły.

I to pogwałcenie prawa uszło bezkarnie Kozakom. „W ten sposób, mówi latopisiec ruski, połatali swoją biedę (*zły dni*)“. Ale za podobne połatanie nowa bieda spotkać ich mogła, więc po ratunek udali się do Łobody. I znowu wysłańcy Nalewajkowi wędrowali za porohy, zapraszając na wspólną wyprawę do Wołoch, toż rachunek mieli z hospodarem i obiecali mu się z odwiedzinami. Watażka zaporoski nie został tą razą głuchy na prośby; stawiał się pokaznie i zbrojnie na czele licznego oddziału, połączył się z Nalewajką, a obie drużyny wynosiły przeszło 12.000, siła dość imponująca. Wszystko to podzielono na 40 chorągwi, a między niemi znajdowały się dwie pryncypalne, strojne w herby cesarskie. Zaporozcy spłynęli na pola braclawskie z pewną powagą i uroczystością, głosili ludowi, że na prośby cesarza Rudolfa, za przyzwoleniem prześwietnej Rady, pozostałej na ostrowach dniewprowych, dążą na pomoc monarsze chrześcijańskiemu przeciw barbarzyńcom.

„Rycerska“ ta i „chrześcijańska“ misya skończyła się jednak na złupieniu państewka, które jedną z najeźdźcami wyznawało religią... Kozacy lotem błyskawicy rzucili się



za Prut w okolicę Jass, gdzie trzy dni tylko hulali, ale te trzy dni krwawo zapisane zostały w kronikach multańskich, choć kraik ów narażony na ciągłe napady nie był tak czułym na rabunek. Nalewajko, w wyprawie tej występował pod wodzą Łobody jako porucznik; w trzech miejscach potrzebę miał z Wołochami, a puściwszy z ogniem to, czego zabrać nie zdołał, wrócił do Polski wraz z Niżowcami. Zamojski w rok później zastał stolicę wołoską „złupioną nie do poznania, zastał tylko pałac murowany wojewody“. Takie to bywały odwiedziny watażków...

Już w listopadzie zakwaterowali Kozacy w Barze. Zaskoczyły ich ogromne śniegi, bo zadymki i burze tej zimy były niezwykle; „takiej zimy, powiada Bielski, starzy ludzie nie pamiętają, albowiem jako zapadła po św. Marcinie, leżała do Wielkiejnocy i potem zimno długo trwało“. Pochód więc odbywać stawało się niepodobieństwem. Przysze zastali kresy podolskie zupełnie z wojska ogołocone; ledwie w Międzybożu było kilkunastu ludzi zbrojnych. W Szarawce, o lekkich sześć mil od Baru, przebywał pan Jakób Pretwic, wówczas jeszcze tylko kasztelan kamieniecki, a przebywał „z kęsem służek swoich“. Obok niego, w świeżo podniesionym i rozbudowanym Felsztynie podolskim, mieszkał czasowo Fulsztyn, wojewoda ruski... O Kozakach straszne wieści krążyły; wszystko, co mogło, cofało się przed nawałą upojoną tryumfem. Kasztelan wysłał żonę, dziatki, dobytek do Trembowli, a sam pozostał i nasłuchiwał, nie godziło się bowiem człowiekowi rycerskiemu umykać z placu. Z jego też relacji dowiadujemy się, że goście owi przywędrowali do Baru 22 listopada. „Łoboda stanął w okopanym mieście Lackiem (w polskiej dzielnicy), kędy i strzelby miejskie, i do tej strzelby swojej pewnie dostatek mają. Na czeremińskim miasteczku (druga dzielnica Baru, tatarska), postawili Nalewajkę z kilkunastuset koni, na ruskiem (trzecia dzielnica), które jest pod zamkiem, do dwóch tysięcy ludzi stanęło“. Już na drugi dzień „koło czynili“; postanowiono na radzie miasto opasać ścisłą strażą, resztę sotni rozkwaterować w siołach okolicznych, Oryszow-



ski zaś, jeden z wydatniejszych dowódców oddziałowych, posunął aż pod Winnicę. Należało pomyśleć o wyżywieniu tej rzeszy, więc watażkowie rozpisali uniwersały, zażądali od miejscowego podstarościego „rejstru proven-tów wszystkich“, postanowili upomnieć się o żołd u Rze-czypospolitej. Chłopicki znajdował się w orszaku Łobody, jako agent cesarski, pochlebiał Kozakom i burzył ciągle nauczając, jak się winni względem Polski zachować.

Ale i zkadinał jeszcze posiadamy trochę szczegółów o tem w Barze obozowaniu. Trzeba wiedzieć, że ks. Konstanty Ostrogski, w poczcie towarzyszków Łobody miał dobrego znajomego, setnika Demkowicza, który nawet niepodrzedną odgrywał rolę, występował bowiem jako negocyator od rycerstwa zaporoskiego. W tym charakterze donosi naprzykład wojewodzie kijowskiemu, „że robił za Prut wycieczkę od panów Kozaków do hospodara mołdawskiego dla przesłuchania przysięgi, którą hospodar J. M. tak z radą duchowną jak i świecką uczynił, z kapłanami i hetmanem swym, iż się prawdziwie odrzucił od cesarza tureckiego i poddał pod cesarza chrześcijańskiego“. Interwencya więc Chłopickiego była w skutki obfita — Kozacy działali jakby z ramienia dworu niemieckiego... Ale i sam Łoboda starał się o względy starego ks. Konstantego Wasila, dobra jego oszczędzał, wymijał je w inkursyach, nowinami obdzielał, a zawsze z submisyą wielką się odzywał. „Uniżone służby nasze do Mościwej łaski W. X. M. naszego Mciwego Pana pilnie zalecamy“, tak się też poczynaly korespondencye watażki. Chwalił się temi stosunkami stary książę przed zięciem: „Zaniechali mnie, spokojnie się we wszystkim przeciwko mnie i poddanych mych zachowują, zwłaszcza p. Łoboda, pragnąc przyjaźni ze mną“.

Zmiana ta — ktoby się spodziewał — była następstwem miłości, zmiękło serce Niżowcowi, zakochał się i to zakochał w urodziwej Laszce. A zakochanie cudów niekiedy dokazuje, przekształca człowieka, obudza w nim szlachetne popędy, potrzebę spokoju... Może więc i w twardą pierś kozacką zapadło pragnienie jednania sobie ludzi,



wpływ posiadających na Rusi. Nastąpił romans — ustęp sielankowy w życiu pełnem wstrząśnień i scen burzliwych a krwawych.

O bohaterze nie wiele posiadamy szczegółów nad te, które o nim pozbierał Bartoszewicz. Archory czy Hrehory Łoboda „był to mężczyzna olbrzymiej budowy ciała, siłę miał nadzwyczajną, wzrostem wszystkich przerosił, do tego barczysty i muskularny, w spojrzeniu, w samych rysach twarzy przerażał dzikością. Umysł jego pochopny do wspa- niałomyślności, wiernie dotrzymywał słowa, przestrzegał praw spokojności, i sam surowy względem podwładnych, niejednokrotnie narażał swoje życie na niebezpieczeństwo“. O odwadze watażki pełno legend przechowało się do dzia- siaj; wilk to czy żubr stepowy... Zresztą na Siczy między Kozactwem nie znano tchórzów, taki już był obyczaj; a Za- leski w dumce na cześć dowódcy Zaporozców ułożonej, bez przesady mówi:

Znał nas dobrze kraj wołyński,  
Nadniemeńskie znały bory,  
Gdy hetmanił nasz Kosiński,  
Gdy Łoboda żył Archory.  
Czy Łoboda gracki młodzian?  
Popytajcie Siedmiogrodzian.

Zawsze to atoli watażka gromady niesfornej, a choć często rabuś, wyżej jednak pod względem moralnym stoi od Nalewajki. Potrafił się zakochać przynajmniej; wysunię- temu na przednią placówkę, wyczekującemu pogody na Barskim zamczku, najniespodzianiejadrgało serce.

W okolicy stacyi w Szerzniach (w Sierśniowcach, we- dle lustracyi XVII w.), w małej wioseczce ukrytej w pu- szczach barskich, na ziemiach starostwa położonej, mieszkała p. Oborska, wdowa, niemłoda, niebogata, a że już córki powydawała za mąż, garnęła więc do siebie sieroty pokre- wne. Wziętość posiadała niemałą w okolicy; mąż jej Jan Oborski herbu Roch, starostował niegdyś w Tyszkowie, słu- giwał rycersko i szczęśliwie wojował z Tatarami. Stefan



Batory, pomny na zasługi nieboszczyka, zapisał jego wdowie 1000 czerwonych złotych na siole wyżej wzmiankowanem. Sama Jejmość wychowana na kresach, była niewiastą energiczną i z miejscowemi zwyczajami obeznaną, na wieść o Kozakach nie ruszyła z miejsca, nie wyniosła się, jak inne sąsiadki do Lwowa, owszem zachęcała przykładem, abą ją naśladowano. Łoboda słyszał dużo o białogłowej, wracając więc raz z łowów, wstąpił do niej. Nie zlekła się watażki, owszem przyjęła go nader uprzejmie jako wielkiego dygnitarza. W izbie gościnnej obok gospodyni uwijało się kilka panienek, wychowanek p. Oborskiej, a jedna z nich szczególnie wpadła w oko Hrehoremu. Dziewczyna choć wątła ale nadobna, płonąca krasnym rumieńcem, na widok kozaczej rzeszy, gospodarującej wraz ze swoim przełożonym bez ceremonii pod strzechą gościnnej wdowy. Łoboda „zerkał“ na pannę nieustannie, miękł, grzeczniej się zachowywał, wkońcu cichaczem wyniósł się ze dworu, jakby zawstydzony. Wyniósł się, ale rychło powrócił. Z uczuć swoich nie spowiadał się, bo nie umiał, jak zwykle człowiek prosty i w obcowaniu z niewiastami nieśmiały. Po kilku tygodniach pasowania się ze sobą wyznał wszystko p. Oborskiej. Nie bardzo ona tego związku pragnęła, tem mniej, że i Laska sobie Kozaka nie upodobała. Czy myślicie jednak, że się Łoboda zraził i zniechęcił? że się starał w panience obudzić uczucie? Nie potrafiłby był tego nawet, umiał tylko gwałtownie się napierać dziewczyny. „Nie dacie mi jej — to sam wezmę; nie chce pokochać — to ją nauczę, żeby mi posłuszną była!“ I oto, już na początku lutego 1595 r. pan Kiewlicz, jeden z korespondentów ks. Ostrońskiego, między innemi nowinami donosił mu z Baru: „To też oznajmuje, że się pan Łoboda, hetman zaporoski ożenił; wziął szlachciankę, powiną bliską p. Oborskiej, która przy niej panienką mieszkała, która zań poniewoli iść musiała; bo tak chciał. Pop ślub im dawał, ale Pan Bóg to wie, długo li tego“. Dalsze losy biednej kobiety nieznane nam są wcale; może uciekła od męża, może jej w tem opiekunka dopomagała, bo oto w rok przeszło potem, Łoboda, korzystając



z zapasów Żółkiewskiego z Nalewajką, ruszył pod Bar na czele 700 ludzi, aby złupić Podole i schwytać p. Oborską, wielką swoją nieprzyjaciółkę, ale się cofnąć musiał z drogi; wojska bowiem koronne już czyhały na niego.

Wpleliśmy tę opowieść, aby poznać lepiej watażkę zaporoskiego — antagonistą to, czasem sojusznik naszego bohatera, a wkońcu siłą wypadków tak się dola jego z dolą Nalewajki wiąże, że mówiąc o jednym, niepodobna drugiego pominąć milczeniem.

---



#### IV.

W końcu lutego 1595 nowożeniec raportował księciu Ostrogskiemu, że „wychodzi przeciwko nieprzyjacielowi krzyża świętego na pola białogrodzkie“. A cóż wówczas porabiał jego współzawodnik? I na to w liście ks. wojewody kijowskiego znajdujemy odpowiedź. „Ten łotr Nalewajko, donosi swemu zięciowi stary marszałek ziemi wołyńskiej, oderwawszy się od drugich w tysiącu człowieka i do Wołoch nie chodząc, teraz jest w Ostropolu, majątności mej gościem, i przyjdzie mi z nim podobno jak w targu postąpić, drugiego Kosińskiego Pan Bóg na mnie przepuszcza“.

Semen jednak nie myślał siedzieć z założonemi rękami, paliła go ambicya; toż Łoboda takież sam Kozak, a jednak on, watażka wolnicy, musiał iść pod jego dowództwo i na leżach podolskich zajmował stanowisko podrzędne... Tamtego honorowano, otaczano pewną estymą, jego zaś ledwo znosili; a jeżeli ma przytułek w dobrach książęcych, to zawdzięcza go bratu Damianowi; jeżeli nie polują panowie na rabusia „nie szlą wojsk koronnych, dla poskromienia buntownika“, to dlatego tylko, że Rzeczpospolita ma wytężoną uwagę na sprawy wołoskie, kędy wszystkie swe siły zgarnęła, aby Multany stojące otworem dla Turcyi, znowu pod swoją opiekę przyciągnąć, a groźnego nieprzyjaciela, Portę, odsunąć od własnych granic. Z tysiącem ludzi puszczać się na wyprawę — niebezpiecznie, iść w ślady Łobody pod Białogród, — chyba po to, żeby zostać jego pomocnikiem,



podwładnym... hardemu Kozakowi chciało się już na własną rękę próbować szczęścia. Więc zaczął zbierać zaciągi w Bracławskiem — i już z wiosną był gotów do boju.

Nim jednak ruszył z miejsca, uważał za obowiązek wystosować list do hetmana Zamojskiego. Jedyny to dotąd znany, własnoręcznym starosłowiańskim podpisem wołyńskiego watażki opatrzony dokument, datowany w kwietniu „z Macyjewicz“, włości pod Ostropolem położonej. Nazywa się w nim bez ceremonii „hetmanem zaporoskim“; jednocześnie tedy mieliśmy dwóch hetmanów, chociaż Łoboda niekiedy skromniejszego używał tytułu, i w urzędowych stosunkach z Polską występował jako „starszy nad wojskiem zaporoskim“; a nawet i tego tytułu urzędników dwóch w tej epoce było, tak się bowiem także pisał żyjący jeszcze M. Jazłowiecki z Buczacza. Uzurpatorów co niemiara; układający dzieje Kozaczyzny powinni o tem pamiętać... Ale wróćmy do treści listu Semena. Uznając zwierzchnictwo Polski nad sobą, przyrzeka posłuszeństwo „Jego Pańskiej Mości“, hetmanowi w. koronnemu, wreszcie dodaje, że za zezwoleniem „księcia pana swego (więc Konstantego Wasila Ostrońskiego) zebrał sobie towarzystwa, aby się z nimi stawić tam, gdzieby tego czas i potrzeba okazywała“. Dziś dąży przeciw poganom, bo pragnie „potężnie oprzeć się nieprzyjacielowi koronnemu“. Prosi wkońcu, by go Zamojski uchronił od ludzi, którzy Kozakom sławy „uszczerbiać zwykli“, i wyznaczył miejsce, kędyby „żywności do czasu zwykłego dosięgać mieli“.

Ruszył, nie doczekawszy się odpowiedzi, a jak zwykle w szalonym zapędzie dotarł z Siedmiogrodzianami do Kili, potem na czele 2.000 junaków przedarł się na Węgry, do Maksymiliana, grozą przejął mieszkańców, rabował straszliwiej od Tatarów, i wreszcie z gór od Munkacza spłynąwszy przez Sambor, obok Lwowa „koniom i sobie za grosz każdej rzeczy dostawając“ oparł się w Łucku. Rzutkość ta wolnicy ukraińskiej, łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce, odwaga, przezorność, zuchwała śmiałość — podziw obudzała w współczesnych. Jakaż bo to świetna, godna pieśni partyzancka



wycieczka!.. Jaki pociągający temat do opowieści!.. Jak uragan stepowy — to na polach dzikich, to w górach niebotycznych, co przygód dziwnych, co wzruszeń niespodziewanych. — Ale ludzie tak dzielnie kozakujący nie wdawali się w dyaryusze swych przygód, szablą tylko władać umieli, imali się pióra niechętnie. Dzicy, nieokiełznani, uczuciom miększym nie poddawali się wcale. Nalewajko nie kochał się ani razu w kobiecie — może mu i czasu na to zabrakło, może żądza wywyższenia pochłaniała inne pieściwe zachcenia.

Po drodze, z powrotem, zawadził o Husiatyn. I przypomniało mu się dzieciństwo, i stary ojciec, i pan gwałtowny a niesprawiedliwy, więc spalił zameczek, zburzył miasteczko; ale Kalinowskiego nie zastał w domu. „Szczęście mu posłużyło, woła sam watażka, a chciałem się być nad nim sposobem chudopacholskim żalu mego zemścić“.

W Łucku trafił na roki sądowe; przedmieście spalił, miasto zrabował, i jak spadł niespodzianie, tak niespodzianie zniknął. Trzy dni tylko gościł — a ruinę po sobie zostawił. Zygmunt III uważał za stosowne uwolnić zubożałych sławetnych od podatków do następującego sejmku, albo do nowego rozporządzenia. Żałośnie odmalowane są odwiedziny „niezbożnego Nalewajki“ w pisaniu królewskim, wystosowaniem do Mikołaja Siemaszki, poborcy wołyńskiego.

I znowu, zwykłym szlakiem kozackim, ponad Dnieprem, niby dla wypocznienia pociągnął Semen na Litwę. „Ledwieśmy tam, powiada, jedną nogą wstąpili, panowie litewscy, mianowicie p. wojewoda wileński, i pan wileński, i p. podskarbi litewski, z inszymi, bez dania od nas przyczyny, bez winy, tylko za trochę chleba, jeszcze mało co u nich albo w majątnościach ich zjedzonego, a śnać jeszcze niejedzonego, na nas się obrócili“...

Tłómaczenie naiwne. — Chleba tego bowiem dobijali się szablą i samopałami, szturmując do Słucka, a gdy zameczku dobyli, Nalewajko zabrał zeń wszystką amunicją (12 dział, 80 hakownic, i 70 rusznic), mieszkańcom kazał zapłacić pięć tysięcy kop groszy litewskich; pierwszy to raz nakładał



haracz, dawniej haracz ten w formie stacyi występował... A tak był pyszny ze zwycięstwa, że się sam *carem Nalewajem* nazywać rozkazał. Zpod Słucka Kozactwo rozplęnęło się po kraju, staczało małe utarczki w Kopylu, Bobrujsku i wreszcie zagospodarowało na dobre w mieście jego królewskiej mości, Mohylowie nad Dnieprem. Krzysztof Radziwiłł zaczął ściągać zbrojne zastępy, trwoga padła na szlachtę, w Słucku mało się nie dostali do niewoli kozackiej synowie kasztelana wileńskiego, Hieronima Chodkiewicza, w innych miejscowościach, przybysze oprócz podatku w groszu, wybierali dziewczki, werbowali młódź kmiecią.

Należało temu zapobiedz. Pod Mohylów pośpieszyło rycerstwo polskie.

Niefortunne te zapasy Litwinów z Kozakami dosadnie odmalował współczesny, nieznany nam latopisiec z Burkułabowa, miasteczka położonego w województwie Mohylowskim, a odmalował temi słowy: „Roku pańskiego 1595; listopada 30, w poniedziałek, na tydzień przed św. Mikołajem, przybył do nas Seweryn Nalewajko. Było z nim 2.000 Kozaków i dział 14. Spalił doszczętu Mohylów, miasto sławne, miasto pobożne, domy, kramy, więzienie (*ostrog*); wszystkich domostw spłonęło 500 a 400 sklepów z wielkimi skarbami. Kozacy bili, rąbali, bezcześcili (*opohanili*) mieszczan, bojarów, ludzi uczciwych, tak mężczyzn jak niewiasty a także małe dziatki. W też ślady wojsko p. Radziwiłła trockiego do Mohylowa w pogoń za rabusiami przyciągnęło, ludu rycerskiego, konnego, zbrojnego, Tatarów 4.000, Litwy 14.000. A nad tym ludem hetmanem był Mikołaj Bujwid. Wówczas Nalewajko leżał u Mohylowa dwa całe tygodnie. Dowiedziawszy się, że hetman z wielkiem wojskiem i działami na niego ciągnie, wyniósł się zaraz z zamku Mohylowskiego na górę Iliną (gdzie teraz cerkiew św. Jerzego; wówczas jej jeszcze nie było). A tak wojska litewskie na polu bujnickiem, należącym do księcia Sołomereckiego Bohdana, na wojska Nalewajki uderzyły i dokoła je opasały. Tam od rana do wieczora spierali się ze sobą, a jednak jedno drugiemu mało szkody czyniło, bo Kozak



posiadał wielką armatę, tak dział, jak hakownic i półhaków dużo, ludzi też swoich otaborował wozami i końmi, i szedł śmiało a mocno. Jakoż Kozacy Nalewajkowi z działa zabili zacnego pana Grzegorza Aniuchowskiego. Najprzód konia pod nim postrzelili, a potem wypadli z taboru i jego samego rozsiekali... Litwa od Kozaków odstąpiła z powrotem do Mohylowa i miasto rabować zaczęła, a mołojcy przez całą noc ciągnęli do Bychowa“.

Nalewajko dążył ku południowi — horda jego rosła z dniem każdym, obóz rozciągał się na mil kilka; 20 dział miał przy sobie — a przy każdym z nich puszkarz przykuty na łańcuchu postępował — byli to jeńcy polscy... Za tą tłuszczą leniwo wlekli się Litwini, nie kusząc się wcale o jej rozpędzenie, pragnęli tylko oczyścić księstwo od łupieżcy, wypędzić go na Wołyń. Ofiara z krwi jakiegoś nieznanego śmiałka Aniuchowskiego zdała się im dostateczną. Pogoda niezwykle piękna sprzyjała rabusiom; „Zima, mówi przytoczony wyżej latopisiec ruski, była ni to zima, ni to lato, ni to jesień, ni to wiosna; aż do maja, do św. Anastazego, śniegów nie mieliśmy wcale“.

W styczniu 1596 r. zatrzymał się Kozak w Rzeczycy; może po raz pierwszy pomyślał o tem, jak owo życie koczownicze zamienić na stałe, osiadłe; ale gdzie rozpiąć gościnne namioty, kędy głowę zmęczoną przytulić, kędy uczciwie na chleb zarabiać bez rozterki z prawem w ziemiach koronnych obowiązującym? W tym właśnie czasie, jakby na zaklęcie watażki, przybył do jego obozu mały człowieczek, ubogi szlachcic zpod Wołkowysk, jakiś Niszkowski. Szukał on już nieraz losu po świecie, był komornikiem królewskim, ale chudopachołek i na dworze pańskim nic sobie zdobyć nie potrafił; siedział więc na wsi i biedę klepał. Naraz doszły doń wieści o tryumfach Nalewajki, a potem w głowie powstała myśl pojednania z watażką, uspokojenia rzeczypospolitej, wówczas on, Niszkowski, nieznanym ziemianin, będzie miał prawo do wdzięczności narodu... Dotąd dobrze — ale jak przystąpić do dzikiego rabusia, upojonego zwycięstwem? I na to znalazła się rada. Oto



zmyśla list od Zyguntą III do Nalewajki, zapewniający Kozakowi przebaczenie, jeżeli buntów zaprzestanie. Z taką odezwą śmiało podążył do Rzeczycy. Dowódca wolnicy niespodziewanie grzecznie przyjął mniemanego wysłańca, udarował nawet hojnie, i może za jego pośrednictwem nakreślił ową korespondencyą do króla, z której niejednokrotnie korzystaliśmy w ciągu niniejszego opowiadania. Zawiera ona w sobie dzieje żywota Semena, ułożone naiwnie, bo w nich wszystkie czyny, oświecone fałszywym światłem, noszą pozory słuszności. Nalewajko pragnie tylko chleba kozackiego, rabunek nazywa zabawą, ludzi karzących go uważa za prześladowców. Jeżeli pobił Wołoszczyznę -- to na rozkaz Zamojskiego. Do jednego się tylko przyznaje, mianowicie do uczucia zemsty — ale uczucie to uważa, jeżeli nie za szlachetne to przynajmniej za naturalne. Wkońcu dodane są kondycye; czyli poprostu projekt przyszłego urządzenia Kozaków, z uwzględnieniem wszystkich rozporządzeń, wydanych w tej mierze przez stany. Najprzód tedy błaga króla o pustynię, oddaloną o mil 20 ukraińskich od Braclawia, a rozścielającą się między Bohem a Dnieprem „prawie na szlaku Tatarskim i Tureckim, między Tekinem i Oczakowem, gdzie od stworzenia świata nikt nie mieszkał nigdy“. Na tej pustyni gotów jest zbudować miasto i zamek ku obronie Rzeczypospolitej; wokoło siebie zgromadzi rejestrowych Kozaków, za porohami zaś będzie trzymać tylko porucznika; obowiązuje się nie przyjmować swawolnych ludzi pod swoje chorągwie, zbiegów *znakować* t. j. obcinać im uszy i nosy, poddanych zwracać jak również banitów „od czci odsądzonych“. I za taką wierną służbę żąda, by mu ze skarbu koronnego dawano to, co Król Jegomość na podarki dla Tatarów wyznaczył, „albo też to, co żołnierzom starym na 2.000 i na straż“, albo wreszcie ile się podoba Najjaśniejszemu Panu. Wkońcu zarecza, że w kraje Rzeczypospolitej nigdy nie będzie wkraczać, chyba „Dnieprem, na Białoruś za pieniędzmi, według ustawy króla Jegomości dla mąk i potrzeb wojennych kozackich“. Jednocześnie zaś, na wszelkie rozkazanie



gotów jest „wojować nieprzyjaciół krzyża św. i z w. kniazem moskiewskim, z wojskiem swem i armatą naprzód, niż kto w państwie ruszyć“...

Projekt nie do odrzucenia, i dziś rozumiemy całą doniosłość jego; ale trzeba zapatrywać się na kwestyę z właściwego stanowiska. W końcu XVI w. zupełnie inne zachodziły warunki — Turcja była potężną — za taką ją przynajmniej miano nie tylko w Polsce ale w Europie całej, kolonia więc kozacka niechybnie wywołałaby musiała wojnę — i to straszną wojnę... Gdybyć jeszcze owi rycerze niżowiarci byli tego, gdyby przyrzeczeń dotrzymywali, gdyby słuchali ostrzeżeń i przestroż, ale gdzież tam, w obozie rabusiów zbywano je żartami i odgrózkami. „Brzydko aż wspomnieć, pisze Żółkiewski, do czego się to swawoleństwo brało, jakie wspomnianie majestatu, jakie zamysły o Krakowie, o wytraceniu stanu szlacheckiego“.

Cierpliwość więc wyczerpać się nareszcie musiała! Dlatego Nalewajko, będąc u szczytu powodzenia, poddawał się, prosił o prawa obywatelstwa. Aż nadto dobrze wiedział, że po uregulowaniu spraw wołoskich przyjdzie kolej na niego, że sporo nabroił, żeby mógł być spokojnym. Próbował więc, azali teraz nie uda mu się wymodlić ułaskawienia, nieubliżającego dumie kozaczkiej!

Nizkowski podążył z supliką i projektem do Warszawy. Niełatwo się dostał do majestatu, a dostawszy się, gdy rzecz całą wyłuszczył, zamiast pochwał, zdumienie nie małe wywołał. Kompromis z hultajami, kraj rabującymi, był niepodobieństwem — i słusznie. Niefortunnego dyplomata przytrzymano i wzięwszy na indagacyę, wykryto rzecz „o zmyślonych listach“ a zamiast spodziewanych tryumfów, dostał się Nizkowski pod miecz katowski. Ścięto go w Warszawie w kilka miesięcy później.



## V.

Początek 1596 roku niepomyślnie się zapowiadał roz-  
hultajonym kupom kresowym. Stary hetman koronny jakby  
się przebudził; głos jego donośny zabrzmiał wzdłuż połu-  
dniowo-wschodniej granicy. Posłuszny temu głosowi wracał  
Łoboda jak niepyszny zpod Oczakowa, zakwaterował w Ki-  
jowskiem, a dowiedziawszy się, że Nalewajko zbiera laury  
na Polesiu, jakby mu pczazdrościł wziętości, podzielił swoje  
drużynę na dwie połowy, jedną wraz z Saskiem pułkowni-  
kiem zostawił przy sobie, a drugą pod dowództwem Ma-  
twija Sawuły pchnął ku Mozyrowi.

Niedawny jednak tryumfator, Semen, mając na karku  
wojska litewskie, zrzecznie się wycofał z zagrożonego stano-  
wiska, łupy pomiędzy podkomendnych rozdzielił, podzięko-  
wał im za służbę, rozpuścił, a sam na czele kilku sotni do-  
tarł do Ostroga i osiadł spokojnie przy bracie.

Tutaj następuje nowy, zbyt krótki okres działalności  
watażki, którą pisarze rosyjscy nazywają walką przeciw Unii.  
Właściwie to pop Damian stoi na czele drużyny, bawiącej  
się zajazdami na majątki Unitów; pop Damian dźwiga sztandar  
wschodniego niezjednoczonego obrządku, Semen scho-  
dzi na drugi plan: nazwiska jego używają niekiedy napa-  
stujący, ale więcej jako postrachu. W rabunkach bierze  
udział i Łoboda, atoli ten nie przekonania religijne ma na  
myśli, nie szuka prozelitów unii, jemu idzie o ów „chleb



kozacki“, tak smakujący zgłodniałym i przywykłym do podobnego zarobku rzeszom.

Jakże się ks. Wasil Konstanty zachowywał wobec zajazdów? Historyografowie rosyjscy utrzymują, że je popierał, że dawał do nich inicjatywę. Bardzo być może, tem bardziej temu wierzymy, że w szeregach łupieżców, nieustannie spotykamy przyjaciół i dworzan wojewody kijowskiego, mianowicie Aleksandra Hulewicza, dwóch Woronieckich, Adama Hańskiego i wielu innych. Przyjaciele ci zawsze znajdują gościnny przytułek w Ostrogu, wreszcie opiekę i obronę w wypadku prześladowania. Fakt więc nie przestaje być faktem, a bezstronnie zapatrując się na przeszłość, winniśmy go tu zarejestrować z całą skrupulatnością.

Zajazdy owe gorszące trwają niedługo, ledwie dwa pierwsze miesiące 1596 r., ofiarą zaś ich padają dwaj najgorliwsi unii promotorowie: episkop Cyryl Terlecki i Aleksander Siemaszko kasztelan bracki. Księgi łuckie przechowały niemało skarg zanesionych przez poszkodowanych; jestto materiały cenny, nosi bowiem na sobie piętno chwili, czuć w nim drganie ówczesnego życia, które bardzo wesoło upływało na kopcach granicznych.

Już ostrożny Niesiecki, drażliwy nawet o honor wygasłego rodu, wspomina o Nalewajce (zapewne spowiedniku wojewody kijowskiego) i jego gorszących wystąpieniach. „Nalewajko, wielki nieprzyjaciel wiary i kościoła rzymskiego, przeciwko świętej wyprawił heretycką procesyą, tak, że większa chorągiew była z prześcieradła, pomniejsze z chłopskich worów, miasto dyscyplin lisie ogony, miasto nabożnego pienia ryki i krzyki“. Boleje heraldyk nad tem, że ks. Wasil Konstanty nie zgromił bluźniercy, choć na pociechę dodaje z pewnem namaszczeniem, że wkrótce „całe prawie Ostrogskie lasy, to jest kędy ta rozpusta z nabożeństwa katolickiego szczyła, zgorzały“.

Daleko większej doniosłości szczegóły zapisane są w księgach grodzkich wołyńskich; tutaj bowiem tenże Damian występuje jako zwykły łupieżca. W pierwszej atoli wyprawie, pozostaje tylko widzem, zagrzewa, nie biorąc



w niej udziału. Miała ona miejsce 14 lutego 1596 roku. Semen już powrócił z Litwy, wypoczął w Ostrogu i wraz z protopopem, przybrawszy sobie do pomocy Floryana Gedrojcia, przedtem dworzanina episkopa Terleckiego, na czele „zbieraniny z niedobrych ludzi“, pomknął w okolice Pińska. Celem wyprawy były wsie Doboje i Otowczyce, należące do Jarosza Terleckiego, rodzzonego brata władcy. Wiedzieli oni dobrze, że wszystkie sprzęty i kapitały Terleckiego tam są złożone. Przestrzeń 30 mil, oddzielającą Ostrog od Pińska, łatwo przebyli po zamarzałej ziemi, głuche puszcze poleskie nadawały się do podobnego najazdu, nikt, krom chyba dzikiego zwierza, nie mógłby ich zdradzić. Chłop usuwał się z drogi niezwykłym gościom, hufiec uzbrojony trwogą go przejmował. W późną noc wpadli do dworu, dziedzica nie zastali, służba wyszturchana ustąpiła z placu — i wówczas dopiero rozpoczął się systematyczny rabunek. Zabrali wszystko, co się pod ręką znalazło, całe archiwum, grosza gotowego niemało, wreszcie pasy, łańcuchy, klejnoty, manele, pierścienie, roztruchany, kubki, czary złociste, srebro stołowe, perły, wreszcie ubiory, futra, zbroje, siodła itd. itd. Rejestr szkód długi, i dodajmy nawiasem bardzo ciekawy, maluje bowiem dokładnie sposób życia ziemian naszych, urządzenie ich domowe, sprzęty używane, materye i sukna najmodniejsze w końcu XVI wieku. I archeolog i artysta skorzystać tu dużo może. Właściciel stracił około pół miliona; w proteście zaś umieścił niemałego znaczenia ustęp taki: „Uczynili to napastnicy z rozkazania pana wojewody kijowskiego, mając waśń i złe serce przeciw wielbnego w Bogu ojca, episkopa łuckiego i ostrońskiego, który do Rzymu jeździł“. W końcu dodaje Jarosz Terlecki, że w liczbie rabusiów znajdował się „pop Damian, brat Nalewajki, a niemało dobytku zabrawszy, do Ostroga powrócił“. Watażka między swoją wolnicę zrabowane mienie podzielił w Stepaniu, włości należącej do wojewody kijowskiego.

Długo się potem biskup z ks. Konstantym Wasilem procesował; dowodził, że srebro w dobrach Pińskich zabrane, poszło „na robienie misiurek i sahadaków“ w Ostrogu.



że Gedrojć, dawny sługa jego, aktor najczynniejszy w sprawie napadu, znajduje się przy boku starego kniazia. Wyrobił sobie biskup u króla list do kniazia, polecający wydanie Gedrojcia. Dworzanie episkopa z listem owym przybyli do rezydencji pańskiej; ale najprzód wypadało udać się do miejscowego staros'ty (tak się rządca kluczowy nazywał), a był nim wojski łucki, Zdan Borowicki. Z starostą trudna sprawa, „postronkami chciał obieć“ wysłanników, potem do więzienia zapakował, głodem morzył, wkońcu „na większą wzgardę prawa pospolitego i wolności szlacheckiej, jako prostych złoczyńców powiązać rozkazał i do zamku krzemienieckiego odesłał“.

Daleko cięższe ciosy spadały na Siemaszkę, kasztelana bractawskiego i starostę łuckiego. Już na początku stycznia 1596 roku kupy swawolne trzymały go w oblężeniu w jego chupkowskim zamczku; kupy te mianowały się wojskiem Łobody. W kilkanaście dni później wystąpił na widownię rabunków nowy bohater, setnik Ostafij Słucki, który rekrutował swoją drużynę w okolicy Ostroga, w Omelaniku z współudziałem ks. Janusza Woronieckiego. Łotrzykowie po drodze zawadzili o Łuck; tu szczególnie pastwili się nad piwnicami, a będąc już pod dobrą datą, pozwalali sobie i innych przyjemności: bili żydów, karaimów i sławetnych chrześcian, pojmanych na ulicy, wrzucali nawet do wody (w styczniu), a dla zabawy strzelali do przechodniów. Zgraja ta w dalszym pochodzie napadła na dobra Andrzeja Odyńca, potem na Żytyn, dziedzictwo pana Przyłuskiego, wreszcie w końcu stycznia oparła się w Korosciatynie (do klucza Tuczyńskiego należącym), dziedzictwie kasztelana bractawskiego. Tu się jednak nie powiodło rabusiom; poturbowani chłopci wzięli się ostro do napastników, sam watażka Ostafij Słucki padł na placu ugodzony toporem, świta jego rozbiegła się w różne strony, ale z niej ośmiu co przedniejszych dostało się do niewoli. Odstawiono ich natychmiast do grodu łuckiego.

Jakby się mszcząc za niepowodzenia Ostafia, ruszyła w końcu lutego druga ekspedycja z Ostroga do Tuczyzna



i Korosciatyna. Na czele jej stanął Damian Nalewajko, przybrawszy sobie za towarzyszków ks. Janusza Woronieckiego, Aleksandra Hulewicza i Semena, który z Kozakami został w odwodzie. Do miasteczka przybył najprzód sam protopop i jął mieszczanom przekładać, że brat jego wcale nie ma zamiaru napadać na dobra Siemaszki, czem uspokojeni obywatele zaniechali ostrożności, i drogo za to zapłacić musieli, bo rabusie jak huragan wpadli o zmroku i zabrali wszystek dobytek. Damian zaraz powrócił do siebie, a jego towarzysze pò tatarsku plondrowali noc całą, ściągnęli wszystko, ale to wszystko z obu majątności: konie, woły, krowy, skóry, miedź, zboże w ziarnie, narzędzia gospodarskie, kozuchy, obuwie, bielizny, drób i t. d. Rejestr szkód podanych do grodu dziwnie smutne robi wrażenie. Oprócz dworu i oficyalistów występuje na liście 88 pokrzywdzonych gospodarzy z kmiecej rzeszy, należących do wschodniego kościoła. Ale jeszcze jednego, najdrażliwszego nie dotknęliśmy szczegółu — oto w miasteczku rabusie zgwałcili 11 mężatek i dziewic, a 11 chłopom poobcinali uszy. Za religijne przekonania kasztelana odpowiadali jego poddani... Kto się gwałtu dopuścił? nie wspominają o tem manifesty, zaznaczyły tylko fakt, widać że był powszedni w owej epoce. Zato uszy chłopskie już na większą zasłużyły uwagę, sam woźny zjechał na miejsce, opatrzył nielitościwie „oszelmowanych“ biedaków, wytoczył nawet śledztwo, i przekonał się, że najczynniejszymi aktorami w tej sprawie byli dworzanie wojewody kijowskiego. Tenże woźny w dni kilka po dokonanym rabunku udał się do Ostroga, przybrawszy sobie za świadków „dobrych ludzi“ rodu szlacheckiego, i oto w obejściu należącym do kniaziewskiego spowiednika naliczyli oni kilkadziesiąt wołów i koni zabranych w Tuczynie. Chciał je „policować“ (pозначыć) p. woźny, „ale pop ostrogski, brat Nalewajki“, zaczął mu wymyślać, kijem groził, przy pomocy „swojego rodzzonego“ wypędził z obejścia. Nie było rady z rabusiem, udali się więc ze skargą do wspomnianego już wyżej sta-



rosty kniaziowego, Zdana Borowickiego, który ich przyjął nadspodziewanie grzecznie i przestrzegał życzliwie: „Radzę wam, uchodźcie, bo wszyscy poginiecie“. Siemaszko jako poszkodowany protestował, szukał sprawiedliwości na drodze legalnej; dobrze już później (5 grudnia 1596 r.) wystosował pozew przeciw ks. Konstantemu Ostrogskiemu, jako współwinowajcy dokonanego rabunku w jego dobrach i jako dającemu opiekę sprawcy napadu, Damianowi Nalewajce. Woźny jeneralny, a że musiał to być człowiek wielkiej cywilnej odwagi, więc ku pamięci przyszłych pokoleń zapisujemy tu jego nazwisko, otóż woźny jeneralny, Stanisław Jaszowski, pozew ów zatknął w szparę dubieńskiego zamku, z czego się nawet nieraz potem chełpił publicznie, a tak dokonawszy wielkiego dzieła, kłusem umknął z placu szczęśliwie, bo bez guzów i sińców.

Przekonano się, że z ośmiu pojmanych towarzyszków Ostafia Słuckiego pięciu należało do stanu szlacheckiego, wszyscy atoli skazani na śmierć, ścięci zostali w Łucku, oprócz jednego Adama Piaseckiego, który wiedziony na egzekucyą, porwany przez „żaków“ obok kościoła św. Trójcy, dostał się do konwentu jezuickiego, a ztamtąd w świat szeroki...

Innych współuczestników, a nawet przywódców nie dosięgała wcale kara; prawo było bezsilnem wobec ks. Konstantego Wasila. I Hulewicz i obaj Woronieccy, i protopop Nalewajko, znowu wrócili do swego pana i opiekuna. Naturalnie, że jak episkop Terlecki, tak i kasztelan Siemaszko nic nie wskórali. Król może nie chciał rozdrażniać zgrzybiałego starca przez wzgląd na synów, a może przez wzgląd na zasługi rodu. Doszukując się jednak pilnie, znajdziemy pewne ślady niełaski majestatu, jak np. pozew ów Zygmunta III w marcu 1597 r. wystosowany wojewodzie kijowskiemu w bardzo drażliwej, bo pieniężnej kwestyi. Szło o podymne, którego wołyńskie województwo nie płaciło przed unią lubelską, potem zaś płacić było powinno. Jeden tylko ks. Ostrogski „od sejmu unijnego“ nie



wnosił żadnego podatku, a instygator publiczny wyliczył, że na jego dobra wołyńskie przypadało 4000 kop groszy litewskich, a za 26 lat uzbierała się dość spora suma, wynosząca 2,600.000 zł. dzisiejszych, i o nią to pozywał Zygmunt III swojego wasala „na znak zwierzchności koronnej“.

Było li to ostrzeżenie? Zdaje się — zawsze jednak pozostanie fakt smutny, że tylko w swobodnej Rzeczypospolitej podobna niesforność ujść mogła bezkarnie. Protestować można, ale nie w sposób tak haniebny; łupiestwa zawsze będą łupiestwami, choćby je ochrzczono łagodniejszą nazwą zajazdów. A pop stojący na czele orszaku, gwałcącego niewiasty i obrzynającego uszy jednoplemiennym współwyznawcom, przechodzi do dziejów jako zbrodniarz, a nie jako obrońca religii...

Fakta to drobne, z całą jednak skrupulatnością, choć z pewnego rodzaju odrazą zapisaliśmy tutaj, bo wiedzieć warto, jak sobie poczynali ludzie, broniący kościoła swojego. Późniejsi dziejopisowie zwykle wymijali te haniebne czyny, zbijając je ogólnikami, strojąc w nimbus zasługi skronie rabusiów, a bezstronny czytelnik, opierając się na ogólnikach wyprowadzał wnioski częstokroć prawdzie ubliżające.

Współcześni szemrali już na te szczególne względy dla ks. Ostrońskiego i jego bliskich, posądzali go nieledwie o czynny udział w burdach zbójeckich, bo oto wojewoda kijowski w liście do Krzysztofa Radziwiłła, pisanym w chwili najgorętszej, bo w marcu 1596 r., tłumaczy się z zarzutów w sposób następujący: „Co się tknie suspicyi od ludzi rozmaicie mnie udających, o tym łotrze Nalewajce, żebym ja go miał rozsyłać, lub to z wiadomością moją, cokolwiek czynił, było; Bóg widzi i wie, a da to z łaski swej, że się nieprzyjaciel żaden mój przy tem nie ostoi. Tom go ja też do Wołoch, do Węgier posyłał? To i Sauła WM. W. X. Lit. z mego rozkazania wszedł? Tożci i mnie, jeśli kogo jeszcze bardziej dolegało. Nowiny, jakie też u nas są o Nalewajku W. X. M. posyłam. Tak tuszą wszyscy, że



go da li Bóg, uskromię, a Panie Boże daj to, aby i tych zbójców, którzy też w krajach Wasz Mości wielkiego Xięstwa Litewskiego proporce swe jeszcze rozciągają; żebyśmy kiedy choć wzdry od swoich w spokoju przemieżkać mogli“.

Otóż pokój ten upragniony niosły właśnie zagrożonym kresom zastępy Rzeczypospolitej. Godzina zadosyćuczynienia za wszystkie bezprawia nadchodziła.

---



## VI.

Jeszcze w styczniu 1596 r. ogłosił Zygmunt III uniwersał zapowiadający szlachcie wołyńskiej, że wojska królewskie wkrótce przybędą dla poskromienia swawoli ukraińskiej; dopiero jednak w miesiąc później doszedł on do rąk kasztelana braclawskiego, który go natychmiast podał do ksiąg łuckich. Zobaczymy teraz, jakie były siły zbrojne dwóch nieprzyjaznych sobie obozów.

Żółkiewski, dowódca przyszłej wyprawy, po świeżym z Wołoch powrocie, stanął pod Krzemieńcem, u zachodniej granicy województwa wołyńskiego, na czele 1000 ludzi. Niewiele, sam to hetman rozumiał, więc robił zabiegi, pisał do kijowskiego i braclawskiego wojewodów, zgłaszał się do „obywatelów górnych ziem przemyskiej, lwowskiej, halickiej...“ Nie odmawiali ale i nie przyrzekali. „Widzę, donosił zasmucony Zamojskiemu, że w tem wszystkim oprócz samego żołnierza, słaba nadzieja, ale i ten znędzony, obdarty, niezapłacony.“ Powszednie to jednak było zjawisko; zepsuci powodzeniami, lekceważyliśmy wszystko i wszystkich, dopiero niebezpieczeństwo oczywiste budziło z tej opieszałości. Dlatego na początku wyprawy dowódca jej musiał łamać tysiące przeszkód, szedł w ogień z drobnymi siłami.

Nalewajko rozkwaterował dwie setnie między Konstantynowem i Ostropolem, mianowicie we wioskach, wchodzących niegdyś w skład państwa ostrońskiego, a teraz



wydzielonych ks. Krzysztofowi Radziwiłłowi, jako wiano jego żony Katarzyny, córki wojewody kijowskiego. Watażka widocznie oszczędzał ks. Konstantego Wasila, to też książę spokojnie przemieszkiwał w zamku staro konstantynowskim, jako obojętny świadek przyszłych zapasów.

Łoboda z Zaporozcami kręcił się w okolicy Kijowa i formował oddział znaczniejszy, do 3000 ludzi wynoszący. Tabor jego wielki był i okazały, znajdowały się w nim niewiasty, żony i dzieci kozackie. Sawuła bujał w okolicy Mozyra, a powołany ztamtąd zatrzymał się w Propojsku „z mocną armatą“. Kozacy wołyńscy nie mieli z Niżowcami nic wspólnego, przeciwnie panował pewien rodzaj antagonizmu między nimi. Niżowcy to rycerstwo, to wojsko Jego król. Mości, uważali więc Kozaków wołyńskich za zbójów. „Swawolnego człowieka Nalewajka, pisał Łoboda do hetmana w. kor. w styczniu 1596 r., który prawie przepomniawszy bojaźń bożą i lekceważąc sobie wszystko na świecie, zebrawszy ku myśli swej ludzi tak swawolnych, szkody, zbytki w koronie polskiej czynił, o którym my nigdy nie wiemy i wiedzieć nie chcemy“. Hetman polny znał dobrze miejscowe stosunki, przedewszystkiem więc starał się o to, żeby porozumienie między powaśnionymi nie nastąpiło.

Nie bacząc tedy na słabe siły, na złe opatrzenie żołnierza, porwał się z miejsca, dzień i noc po śniegach i roztopach dążył pod Ostropol i wpadł niespodziewanie na pierwsze placówki hultajstwa Semenowego. Watażka słyszał o uniwersale królewskim, ale przypuszczał, że dopiero z wiosną starcie nastąpi, nie był przeto do odporu przygotowany. Dnia 28 lutego hetman już się znajdował w Marcierzycach (nie Maciejowicach, jak Hejdensztejn i Bielski błędnie utrzymują), gdzie zeszedł dwie seciny pod wodzą Marka Durszego i Tataryńca. Wojska koronne zniosły do szczytu ten oddział, tak, „że okrom kilku i to rannych nie uszło“. Wolnica, choć ze zbieranej drużyny złożona, biła się dzielnie, polskie rotę zastały ich ucztujących, ale pijani oprzytomnieli odrazu, bronili się w ulicach wioski, potem w chatach, potem we dworze, „aż je ogniem kazał



hetman wykurzać“. Nalewajko w sąsiedniej Czernawce, uprzedzony o niebezpieczeństwie, umknął do Pikowa. Żółkiewski podnocował w Rajkach pod Ostropolem i podążył za uciekającym.

Niedawny plac boju dziwnie smutne przedstawiał zjawisko. Tupów niepogrzebanych mnóstwo, ruina dokoła, czarne, zwęglone ściany ubogich domostw kmiecych, wszędzie ślady krwi na stratowanym kopytami końskimi śniegu. Ks. Konstanty oglądał pilnie pole walki i opisał je natychmiast swojemu zięciowi, w którego dobrach miała ona miejsce. „Wyjechałem sam, mówi, w kilkadziesiąt ludzi dla pewniejszej wiadomości. Poległych do trzechset. Szkody niezmierne, pierwiej Kozacy, teraz żołnierze poczynili. Rzadko w którym siole W. X. M. konia znajdzie, bo czego Kozacy nie wzięli, ostatek pobrali żołnierze“. Marszałek ziemi wołyńskiej, dowódca sił zbrojnych województwa, o stratach materialnych myślący w chwili, kiedy się bój toczy w prowincyi jego pieczy i obronie powierzony — trochę nie po obywatelsku wygląda. Ale pomińmy milczeniem to niezwykle zachowanie się ks. Konstantego, pilno nam powrócić do stron wojujących.

Nalewajko nagle zaskoczony dążył na południe; wódz polski tuż za nim gonił po manowcach i bezdrożach. Nieliczni osadnicy, patrząc na tę garstkę Kozactwa, pędzoną przez rycerstwo zakute w zbroję, stawali zdziwieni i wylekli. Ani jednych, ani drugich nie wstrzymywały groźne zawieje, zimna, noce ciemne, jak zmora przesuwały się przed wzrokiem widzów, z hukiem i szczękiem, bez pieśni, bez okrzyków radości, pogrózki czy gniewu — przesuwały się i niknęły za pierwszą górą, w pierwszej dąbrowie. Nalewajko zahartowany w bojach, zręczny, zwinny, obeznany z miejscowością, ale i hetman polny, nie mniej przezorny a szybki, jak gdyby w jego żyłach krew kozacka krążyła.

I rozpoczął się dziwny pościg na przestrzeni dwustomilowej, trwający prawie pół roku, a uparty, zajadły, nieubłagany. Dowódca wolnicy układał najrozmaitsze projekty, aby się tylko wysliznąć z żelaznych rąk Żółkiewskiego,



który jakby przeczuwał jego zamiary, wszystkie siły wyteżył, aby go osaczyć, zgnieść, uczynić niezdolnym do dalszych bojów. Szło mu o uspokojenie kresów, o zaprowadzenie ładu na kopcach granicznych, którym stróżował, i postanowił albo głową nałożyć, albo rzecz doprowadzić do pożądanego końca... Starej to szkoły był rycerz, długo czekał cierpliwie, ale raz podniósłszy się z legowiska, nie dopuszczał już żadnych deliberacyj, żadnego kompromisu, albo z nim walczyć do upadłego, albo zdać się na łaskę lub niełaskę.

Przyznać jednak potrzeba, że godnego miał przeciwnika! Jak rozjuszony odyniec, osaczony w kniei, bronił się Nalewajko zajadle. Mieszczanie jednoplemienni, owi przedtem uniżeni hołdownicy, wielbiący watażkę jak półboga, teraz przed nim zamykali bramy. Kiedy przypadł do Pikowa, nie puszczono go do wnętrza, tak, że na gołym polu, na topniejącym śniegu wytchnął chwilę i podążył do Braclawia. Hetman polny nie spuszczał go z oka, godzina drogi dzieliła nieprzyjacielskie zastępy. Do Braclawia jednak Semen nie doszedł; dowiedział się, że „sławetni“ nie pragną jego odwiedzin. Jakże się gorzko uśmiechnąć musiał, może w stronę miasta pogroził nahajką, zakarbował w pamięci urazę i zawrócił ostro na lewo, ku Przyłukom, wiosce położonej nad Sobem, w dzisiejszej kijowskiej gubernii. Osada rzeczona w końcu XVI w. stała na rubieży kraju zaludnionego, poza nią na wschód i południe rozścielała się pustynia.

Nalewajko ukrył się w dąbrowie poza wioską, Żółkiewski i tam go wytropił, a choć bez wytchnienia po roztopach wiośnianych zrobił mil przeszło 30, stanął jednak natychmiast do walki, która trwała bez widocznej korzyści do nocy. Na drugi dzień o świtaniu, Semen już był daleko biegł w stronę, kędy leżą Sinewody, i znikł w dzikich polach bez wieści.

Kampania trwająca dwa tygodnie w nową przechodziła fazę. Nieprzyjaciel wysliznął się z rąk prawie, należało obmyśleć inne drogi dla jego ujęcia. Ale najprzód potrzeba kilkudniowego odpoczynku, nie dla siebie, nie dla ludzi,



ale dla koni, które nie mogły wytrzymać takiej szalonej służby. Wreszcie trzeba było czekać na posiłki, z 1000 zmęczonych żołnierzy trudno zwalczyć przeciwnika. „Te dziesięć rot, pisał zpod Ostołopowa, z którym z razu za Nalewajkiem gonił, konie sobie popsowali; drugim też rotom choć nie w czas przyszły, goniąc za mną, toż się stało. I tychby trzeba pieniędzmi ratować, żeby jakotako rysztunków sobie poprawić mogli“. Groszem własnym „sposobił“ doświadczony wódz falkonetów i szmigownic potrosze. Marzył ciągle o powiększeniu swojego oddziału, ale trudno było uprosić panów braci.

Michał Wiszniowiecki, posiadacz rozległych dóbr ukraińskich, w których akcja wojenna odbywać się miała, wymawiał się sprawą jakąś procesową na sejmie i zamiast do obozu, wybierał się do Warszawy; toż samo oświadczył i p. Bistrup, dzielny dowódca chorągwi, i ledwie zapewnieniem że użyje wstawiennictwa Zamojskiego, który w ich imieniu wystąpi do króla, potrafił ich zatrzymać przy sobie. Dowódcy węgierskiej piechoty, Lepszeniemu, obiecał wyrobić indygenat, kapelanowi obozowemu *beneficium* intratne. W takito sposób wypadało kaptować herbownych, zapatrujących się na wojnę z Kozakami jako na burdę domową. Zaciąg zwiększał się powoli, oprócz jazdy kwarcianej, wynoszącej 1550 ludzi, w liczbie których dwie roty Temrukowa (tatarska) i Bekieszowa posiadały ustaloną sławę — miał jeszcze ze 300 węgierskiej piechoty, nadto z kilkuset ochotników z Baru, Konstantynowa i Chmielnika. Po wytchnieniu udał się wódz do Winnicy (16 marca), z kąd do Bracławian pchnął jedną chorągiew. Sławetni burzyli się dawniej, obecnie z pokorą oczekiwali wyroku. Żółkiewski rozkazał, aby wydali wójta Tykowicza „z drugim buntownikiem w dekrecie J. K. Mości mianowanym“. Obaj oni wraz z Nalewajką uczynili napad na urzędników wojewódzkich jeszcze w roku minionym, a teraz głową nałożyli owo zuchwalstwo, ścięci w Winnicy dla przykładu. Jedyne to wyrok wykonany przez hetmana podczas tej wojny.

Wódz dążył ku wschodowi; w Pikowie był 24 marca,



w Pohrebyszczach w kilka dni później; wkraczał do kraju, objętego żarzewiem swawoli kozackiej. W ciągu ostatniego miesiąca przeciwnicy także nie próżnowali. Zmieniali nieustannie pozycje, dążąc wytrwale do skupienia wszystkich sił w jedno. W „umanii“, to jest pustkach poza Białocerkwią chował się Semen ze zdemoralizowaną wolnicą, w okolicy Białocerkwi stał Łoboda z garstką swoich, w Kijowie gospodarował Sasko, pułkownik, a tuż obok Sawuła „ze wszystką armatą zaporoską“, piastujący na ten czas godność „atamana“, choć jego poprzednik Hrehory żył jeszcze i walczył także na czele Siczowców.

Jakby przednią straż wojska Żółkiewskiego stanowił Kiryjak Rożyński. O Rożyńskim bardzo mało u nas w dziejach: nie wdając się w prostowanie błędów, zapiszmy tu o nich, cośmy odszukać zdołali. Ks. Ostafij Rożyński był w 1581 r. panem na Korestyszowie. Jeden syn jego, Michał, był dzierżawcą Rubłówki, wsi należącej do ks. Janusza Ostrogskiego (1587) i panem na Pawołoczy, która po jego zgonie przeszła na rodzzonego brata Mikołaja. Trzeci syn Ostafia, Kyriak, najruchliwszy na Rożynie i Kotelni, darowanej mu przez Stefana Batorego w 1581 r., kłóci się z sąsiadami; zatargi jego z Kotłubajami, Iłaszewskimi i Gronostajami trwają dziesiątki lat, chociaż niemniej uparte procesy prowadzi z Tyszkiewiczami z Kodni, z Januszem Ostrogskim, z Strybelem, sędzią kijowskim, z mieszczanami kaniowskimi. Szło o granice przeważnie; król w 1597 r. pomny zasług Kyryjaka, wysłał komisarzy pod prezydencją Stanisława Żółkiewskiego, kasztelana lwowskiego, która zażegnała spór. Umarł Kyryjak w 1600 r. wierny obrządkowi greckiemu, młodo, bo nie miał 50 lat; została po nim żona Jadwiga, syn Jan Roman, po śmierci ojca katolik, czepiający się samozwańców, i córka, której imienia nie znamy.

Otóż kniaź na Rożynie i Kotelni, człowiek miejscowy, partyzant zawołany, miał 500 ludzi pod swoim dowództwem i artylerią z własnego zameczka ściągniętą; rwał nieprzyjaciela, fortem podchodził, napadał niespodzianie, tak, że jeńców co niemiara liczono w jego obozie. „Naimał siła tego



hultajstwa, pisze o nim Żółkiewski, i dał ich naścinać przez pięćdziesiąt. Ja do tego czasu, dodaje o sobie, oprócz tych, co w potrzebie byli, zachowałem ręce swe od ich krwi. Wolałbym, aby można schorzałe członki (*putrida membrana*) leczyć, niżli odcinać. Ale też i ks. Rożyńskiemu nie dziwo- wać się, jako wszystkim tamtej ziemi, tak osobliwie jemu do żywego dojedli“. Zaznaczmy ten pogląd hetmana polnego na nieporozumienia z Kozakami: leczyć członki schorzałe a nie obcinać je! I inni wojownicy podzielali to zdanie, że wymieniamy tu Jana Zamojskiego i Jana Sobieskiego, zawsze atoli uwzględniając Zaporozę, nie mieli pobłażania dla kup swawolnych. Nie brał wszakże wódz naczelny za złe zacie- tości Rożyńskiemu, toż jego dobra leżały o miedzę od Bia- łocerkwi, gdzie „swawolnictwo“ rozwieliło się stale od lat trzech a sąsiedztwo takie dawało się we znaki kniaziowi Kyryjakowi, ale też i kniaź Kyryjak musiał się dać we znaki przeciwnikom, kiedy Sawuła aż listownie do niego się uda- wał, w odezwie przesłanej przez przeora Dominikanów z Kijowa. W liście tym była i wymówka i zapytanie: „dla- czego się na nas zbieracie?“ w końcu prośba o wstawienie się do hetmana polnego. Przeor powiadał, że między Ko- zactwem popłoch niezmierny, mimo świeżo otrzymanych zapewnień od ks. Siedmiogrodzkiego, zachęcających do wy- trwania w boju. Mnich złożył wierny odpis odezwy wspo- nianej, a kniaź Kyryjak natychmiast przesłał to wszystko Żółkiewskiemu.

Stary wódz zawsze jeszcze w Pohrebyszczach obozu- jąc, łamał sobie głowę nad ukończeniem polubownem sprawy z Zaporozcami. Łobodę wyróżniał on szczególnie, zaszczycał nawet względami, wierzył w jego uczciwość, więc do niego pchnął Kozaka dworskiego z cedułą: „Wydajcie, mówił w niej, Nalewajkę, wracajcie za porohy, a wyjednam wam łaskę i przebaczenie“. Czerń jednak źle posła przyjęła, sta- nowisko Łobody już było podówczas zachwiane, i ledwie obronił wysłańca; sam go za tabor wyprowadził, dał mu czerwony złoty na drogę i z żalem powiedział: „Czyż nie



mógł hetman szlachcica jakiego posłać do nas, nie ciebie — jakoby rzekł, że łotra do łotra posyła“.

Ale jeszcze nie wrócił ów niefortunny delegat-kozaczek, kiedy przednie straże przyprowadziły innego posłańca, który wiózł suplikę od Nalewajki do Strusia, starosty braclawskiego, znajdującego się przy boku hetmańskim. Semen prosił o łaskę i miłosierdzie, pisał, że głodem przymiera, że opuścili go współtowarzysze, a on jak dziki zwierz w puszczy chować się musi. Żółkiewski wysłuchawszy petycji, po namyśle chwilowym powiedział: „Bóg z nim, niech się odda w ręce nasze, a przyrzekam, że na gardle karany nie będzie, niech jeno wróci działa koronne i prywatne, po zamkach Ichmościów pozabierane, a także chorągwie Maksymilianowe“. Odpowiedzi jednak na tę propozycją nie było, w obozie polskim dowiedziano się wkrótce, że Kozak wołyński „ściele sobie drogę na drugą stronę“, to jest, że z Zaporozcami wchodzi w akordy.

Istotnie porozumiał się z nimi, a gorący książę Rożyński mało nie padł ofiarą tego porozumienia. Przybiegł z Trylisów do Białocerkwi na czele niewielkiego oddziału, z celem zniesienia Łobody. Gdybyż jeszcze w zamczku się był zamknął, bo zameczek „niezgorszy, *presidium* bezpieczne“, ale kniaziowi zachciało się rychłego zwycięstwa i wykonał nową wycieczkę. Z obleżonego, sam oblegający, i znowu obleżony, natknął się na wielkie siły; oprócz Archorego bowiem znajdowały się w taborze kozackim świeże oddziały przyprowadzone przez Sawułę i Nalewajkę. Szczęściem Żółkiewski, choć nieuwiadomiony, pośpieszył na pomoc zagrożonemu. Mołojcy się cofnęli ku Trypolowi, a byli silni teraz, liczyli bowiem 7,000 ludzi pod bronią.

Co czynić dalej? Na radzie naprędce złożonej, postanowiono ruszyć w pogoń i korzystać z popłochu nieprzyjaciela. Brakło wszakże prochu i kul, spodziewano się wprawdzie ich ze Lwowa, ale po drogach rozgrzanych nie prędko przyjść mogły. Książę Kyryjak ofiarował zapasy swoje, złożone w niedalekim cekhauzie Rożyńskim.

Nad jeziorem Oстрыm kamieniem (o milę od Biało-



cerkwi) nastąpiła pierwsza walna bitwa, za taką ją przy najmniej Hejdensztejn i Bielski podają, choć sam wódz i uczestnik strąca ją do rzędu powszednich utarczek. „Szli spieszywszy się w taborze, w pięć rzędów puściwszy wozy i kolasy. Dział mieli kilka dwadzieścia“. Godzin ze trzy tak postępując obie strony, przypatrywały się sobie pilnie, dopiero ku wieczorowi postanowił Żółkiewski spróbować szczęścia. Kozacy zatrzymali się na polanie, a łańcuchami powiązane ich wozy stanowiły nieprzebytą zaporę, pod wozami zaś ukryci rabusie doskwierali naszym celnymi strzałami. Hetman na wzgórzu umieścił swoją skromną armatę. Przypuszczono szturm ze wszystkich stron i po kilkugodzinnych usiłowaniach, wojska polskie otrzymały przewagę. „Wręcz była bitwa w taborze, rozerwać ich jednak, choć wielkie było do tego podobieństwo, Pan Bóg nie sądził“. Olbrzymy po obu stronach walczyły, było to pasowanie jak u starożytnych — na siłę. Ku północy opór słabnąć począł, szczególnie kiedy dzielny Sasko padł rażony od kuli, kiedy Sawuła i Nalewajko odnieśli ciężkie rany — pierwszemu „utracono łokieć z działka“. Semen cudów waleczności dokazywał. Kozacy go też obwołali atamanem.

Mołojcy wycofali się w szyku bojowym, zostawiwszy na pobojuwisku przeszło 2000 trupów. „Pobitoż ich do zabitej śmierci, jako sami mówią, że nigdy przedtem taka się w nich szkoda nie stała, jako w tych potrzebach“. I polskie zastępy dotkliwe poniosły straty. Żółkiewski podaje 32, inni liczą do 300, ale pośród nich kwiat młodzieży, jak Jan Wiernek herbu Janina, dowódca chorągwi z Krakowskiego; Dłuski herbu Nałęcz z Radomskiego; Stanisław Łaszcz herbu Prawdziec z Bełzkiego; Palczowski herbu Orla z Zatorskiego i wielu innych. Żółkiewski noc przepędził na pobojuwisku; „mroźna pora ludziom i koniom czyniła niewczas“. Na drugi dzień musiał wracać do Białocerkwi, aby dać wypoczynek wojsku i opatrzyć rannych. Kozacy zaś strwożeni pociągnęli do Kijowa, kędy ich rodziny przebywały, i nie bacząc na to, że rzeka płynąciami lodami pokryta, na czajkach (przez Kaspra Podwysockiego sprowadzonych z za porohów), po-



mknęli za Dniepr i przedostali się z „ruskiego“ na „tatarski“ brzeg jego, pewni, że polskie zastępy ich tam prześladować nie będą.

Hetman jednak nie dał za wygraną, pociągnął w ich ślady; pod Wasilkowem przybył mu na pomoc Jan Potocki, starosta kamieniecki ze swoją rotą, przybyły prochy i kule pod osłoną jego dzielnych żołnierzy. I Chodkiewicz stawiał się ze swoim zaciągiem, żądny popisów rycerskich, a stary wódz, dogadzając animuszowi młodzieńca, posłał go do Kaniowa, aby oczyścił miasto od rabusiów. Do pomocy ofiarowali się książę Kyryjak Rożyński i książę Michał Wiszniowiecki. Spadli na gród ów jak huragan w pierwszy dzień Wielkanocy i wywołali popłoch wielki. Do 400 osób zebranych na nabożeństwie w cerkwi poległo, reszta ratowała się ucieczką, a z tej rzeszy niemało gminu utonęło w Dnieprze. Według pana Kulisza lud dotąd przechował w pieśni pamięć owej rzezi przez zlaszonych Rusinów wyprawionej; oto jedna jej oderwana strofka:

A bodajżeś ty dziewczyno branko,  
Marusiu, popówno, Bohusławianko,  
Szczęścia i doli nigdy nie zaznała,  
Za to, żeś nam smutny dzień prazdnika,  
Dzień Wielkijnocy przypomniała.

---



## VII.

Cały kwiecień i początek maja upłynął obu stronom pod Kijowem na układach nieustannie zrywanych, na poselstwach i naradach. Trudno obliczyć, wiele one zużytkowały podstępów, zwycięstwo na własną przechylić szalę. Kozakom szło o to, żeby wojska koronne Dniepru nie przekraczały, hetmanowi polskiemu żeby bezkarnie buntowników z rąk nie wypuścić. A między dwoma obozami rozścielał się stary Kijów i jego wylękli mieszkańcy. Sprzyjali oni wprawdzie Kozakom, ale się bali gniewu Żółkiewskiego, więc skoro tylko tabor Niżowców „z żonkami i dziećmi“ pomknął w dzikie pola, zaraz się oświadczyli z gotowością ułatwienia przeprawy wojskom koronnym; znalazły się nawet czółna ukryte pod wodą, znaleźli się przewodnicy. Niebawem na modrych falach Borystenu powiewały chorągwie Rzeczypospolitej, pierwsze placówki gwarne a hałaśliwe rzuciły się na brzeg tatarski. Przed nimi rozścielał się step szeroki, bujny, okryty zielenią i kwieciem, za nimi ubogi zrujnowany gród ruski, a tam na prawem urwisku wspaniałej rzeki rozpięte namioty rycerstwa, czasowa kwatery naczelnego wodza.

Naraz od strony zielonego stepu pokazały się spisy kozackie, jedna i druga setnia. Chytrze, milczkiem skradały się one, niedobre zamiary mieli przybysze, chcieli ukarać Kijowian poswojemu, rabunkiem, zato że wojskom koronnym ułatwili przeprawę. Przybyli jednak za późno.



Zastępy polskie powitały ich strzałami, hukiem strzelby mnogiej, jakby zwiastując napastnikom: jesteśmy!

Ale zamiast walki, znowu układy i znowu zwłoka. Sam Łoboda pokryjomu, w skromnej czajce przepłynął Dniepr, i stawił się przed Żółkiewskim. Hetman wdzięcznie przyjął Kozaka, ale powtórzył mu to samo co poprzednikom: Wydajcie Nalewajkę, i „inne przedniejsze szkodniki“, także armaty i chorągwie cudzoziemskie, a wówczas Niżowcom pozwolę odejść spokojnie.

Wysłaniec zbuntowanych powracał zasmucony. Stronnictwo wołyńskiego watażki miało przewagę w obozie, wolnica brała górę nad czystej krwi Zaporozcami. Wprawdzie Krępski z za porohów przyprowadził 500 ludzi zdolnych do boju, ale zastawszy zatargi i intrygi, choć nie opuścił jednoplemiennych, pozostał na stronie. Na jedno zdobyć się potrafił, oto delegatów Żółkiewskiego, zalecających mu spokojne zachowanie, odesłał na ostrowy Dnieprowe.

Kozacy zatrzymali się w Perejasławlu, leżącym przy spławie dwóch rzeczulek Trzebieży i Iliczy. Miejscowość błotnista, a zamek choć dopiero za panowania Batorego wzniesiony przez ks. Ostrońskiego, wojewodę kijowskiego, leżał już w gruzach. Całą zaletą tego kąta było, że się blisko Dniepru znajdował, a na Dnieprze stał Podwysocki, główny dowódca flotyli z czajek złożonej, Laszek oddany duszą i ciałem sprawie Zaporozców, miał dostarczyć mołojcom żywności, gdyby się tu otaborowali i ułatwić im ucieczkę na prawy brzeg rzeki. Żółkiewski był pewny, że tu zasiądą buntownicy; kazał więc Janowi Potockiemu, staroście kamienieckiemu, obserwować ich od strony polskiego wybrzeża, a sam pośpieszył do Perejasławla.

Czaty kozackie dały znać w mieście o zbliżeniu wojska polskiego, starszyzna więc na radzie jeneralnej postanowiła udać się do Łubien. Kolonia ta świeża, młodziutka, ledwie lat 6 życia liczyła; osiedlił ją starosta czerkaski, Wiszniowiecki, na dawnym uroczysku, i od swego imienia nazwał Aleksandrowem. Forteczka tutejsza, obwiedziona częstokołem, miała wejrzenie pogranicznej placówki, łatwo



mogła ustąpić lada jakiemu naciskowi, ale za miasteczkiem przepływała błotnista, rozlewająca się w szerokie moczary Suła, a na niej rzucony był długi most, istne arcydzieło kołodziejów budowniczych, most, o jakim dzisiejsza inżynieria nie ma wyobrażenia. Kozacy więc postanowili przejść rzekę, spalić poza sobą groblę, a wówczas sporo zyskują czasu na ucieczkę; nim bowiem rycerstwo polskie przebędzie tę zaporę, oni daleko już będą.

Żółkiewski po przybyciu do Perejasławla, kiedy się dowiedział, że przeciwnik skierował się ku wschodowi, odetchnął spokojnie. Miał ztąd jeszcze 25 mil do Łubien; buntownicy albo nań czekać tam będą, albo przedostaną się do Putywła moskiewskiego, oddalonego od brzegów błotnistej Suły o mil 12, albo wkroczą „na szlaki morawskie“, albo zresztą nad Don powędrują. — Byle tylko żarzewia wojny do Polski nie przenieśli powtórnie. — Wymkną się, to prawda, ale zawsze trudno im już będzie powrócić, wreszcie można gęsto obsadzić granicę i nie puścić nieproszonych gości. Z jedyne go jego listu, pisanego do króla 21 maja z obozu pod Supojem (nie Sopohem), położonego między Perejasławlem a Łubnami, przebija się determinacya i gotowość prześladowania Kozactwa, choćby w granicach carstwa, choćby nad morzem Czarnem. „Proszę uniżenie o naukę W. król. Mości“ — woła wódz wkońcu, ale nie rychło na nią czekać było w stepie. List wiozł królowi kasztelan halicki, Imć pan Stanisław Golski, właściwie Hojski, ruchliwy szlachcic, Rusin, używany często do pośredniczenia z Kozakami, rodzony brat tego, który spłynął na Wołyn, wezwany przez księcia Ostrońskiego i walczył z Kosińskim pod Piątkiem. Otóż kasztelan spotkał w drodze księcia Bohdana Ogińskiego, dążącego z Litwy na pomoc wojskom koronnym. Dnia 24 maja, już w okolicy Łubien dopędził on Żółkiewskiego, radość ztąd była wielka. Nieliczni osadnicy Aleksandrowa z trwogą przysłuchiwali się pieśniom i pogwarowi, dolatującym z obozu polskiego do miasteczka.

Gnani pościgiem Kozacy nie wyruszyli do Putywła,



ani nad Don, ale poza Sułą okopali się na uroczysku Sołonicą zwanem. To nowa omyłka w strategii mołojców. Stracili pierwszą dogodną chwilę, opuszczając Perejaślawl, teraz druga z rąk im się wymykała; zamiast zatopić działa, prochy i z właściwą sobie chyżością rozproszyć się po stepie, w oszańcowanym zamknęli się obozie. Nie mieli odwagi zostawić „żonek i dzieci“ na łup zwycięzcy, uchodzić zaś z niemi — czyż podobna?

Hetman przez szpiegów wiedział o wszystkim, posiadał nadto w obozie ludzi, znających dokładnie jeografią kresów, pamiętali oni, że poniżej Łubien Suła rozlewa się szeroko, ale dno jej twarde, niewielką warstwą wody pokryte, pamiętali, że tą drogą Witold, w. ks. lit., umykał po przegranej nad Worskłą jeszcze w 1339 r. z kąd na niedokładnych mapach „zwano ją od wieków Witołdowym brodem“. Więc na ochotnika! Kto się przekona, że się można tędy przedostać na lewy brzeg Suły?

Pierwszy poskoczył p. starosta brackłowski. Strusiowie jakby na to żyli, żeby kości swoje składać na polach bitew, a p. Jędrzej liczył już 30 protoplastów, poległych w obronie Rzeczypospolitej. Tym razem jednak nie poległ, bród przebył szczęśliwie, i trwogą przejął Kozaków, niespodziewających się z tej strony napadu. Tymczasem inne chorągwie przypadły po grobli łubieńskiej, odpędziły nieprzyjaciela i utworzyły drogę dla wojska i artylerji. Rabusie zostali osaczeni jak w kniei; następował dla naszych nowy okres — oblężania nasypisk ziemnych, poza któremi ukryte rzesze broniły się rozpaczliwie. Słusznie powiada Kulisz, że nie masz straszniejszej i zaciętszej walki, jak walka dwóch poważnionych braci.

Czekało zwycięstwo niechybne, zwycięstwa pewne były stany, pewien go był stary orzeł, hetman w. kor., w dalekie stepy pogładający — ale on jeden może wiedział, jakimi ofiarami okupić je wypadnie.

Już 25 maja obie strony stały naprzeciw siebie z całym zapasem sił, któremi rozporządzać mogły. Nalewajko i Łoboda liczyli od 6 do 8000 ludzi, oprócz kobiet i dzieci.



Żółkiewski utrzymywał, że w taborze znajduje się 2000 dzielnych żołnierzy reszta „*chasza* (kasza?) do boju niedogodna“; koni 10.000 frontowych i zaprzęgowych, nadto 21 dział, spory zapas broni i amunicji. Kozacy okopali się o pół mili od Łubien w taki sposób, że jedna strona okopów przytykała do błotnistej Suły, trzy inne czworoboku ściany wychodziły na szczerze pole.

Zadaniem oblegających było pozbawić obleżonych pożywienia i głodem zmusić ich do prędkiego poddania. Wojska Rzeczypospolitej były stosunkowo dość liczne; Bielski podaje ich cyfrę na 4900 piechoty i jazdy, nadto polowych działek kilkanaście.

Kwiat rycerstwa polskiego był tu reprezentowany; ludzie obeznani z wojennem rzemiosłem biegli w step jak na gody. O ile w początkach zbywali nawoływania hetmana obojętnem milczeniem, o tyle teraz, widząc niebezpieczeństwo, tłumnie do jego dążyli obozu. Spotykamy tutaj imiona, które potem zdobyły najwyższe godności i zaszczyty. Walczyli bowiem w szeregach Karol Chodkiewicz, starosta żmudzki, skromny, 36 letni kawaler, późniejszy hetman w. litewski, Andrzej Sędziwój Czarnkowski, dopiero rotmistrz a w kilkanaście lat wojewoda łęczycki i generał wielkopolski, Jan Daniłowicz, krajeży koronny, w przyszłości wojewoda ruski, Marek Sobieski, wojewoda lubelski, przyjaciel dwóch królów, słynny z zręczności w boju i odwagi osobistej, trzej bracia Potoccy, Jan, starosta kamieniecki, Jakób i Stefan, którzy wszyscy potem zkolei zajmowali w senacie, jakby w spadku po sobie, krzesło województwa braclawskiego.

A i kniaziowie litewscy i ruscy, zgromadzili się pod sztandarem Rzeczypospolitej — jak Ogiński, Proński, Rożyński i Wiśniowieccy.

A obok nich ile się to drobniejszej szlachty uwija! Dwóch Herburtów, dwóch Przerębskich, Jędrzej Jazłowiecki, starosta czerwonogrodzki, Marcyan Górski, Samuel z Tulinina Hornostaj, podkomorzy kijowski; Władysław Bekiesz, starosta wschowski, niedawny indygiena; Fredro, Tarnowski,



Zebrzydowski. Dalej idą ludzie, którzy się nawet nie przedarli do herbarza, jak Kowaczowski, Sładkowski, Pleśniowski, Ulanicki, Lepszeni.

Zastęp wcale wspaniały! Tylko pośród tej rzeszy ze wszystkich krańców zebranych, brakło ks. Ostrogskich i przyjaciół ich domu, a jak gdyby jakie zobowiązania wiązały ich z Kozakami, jak gdyby ruina Polski nie obchodziła starego kniazia, młodzi synowie jego, zapewne dogadzając woli ojcowskiej, nie stanęli do tego tańca.

Taniec bojowy tymczasem jakby ostatniej figury dobiegał. Oblężenie poczęło się 25 maja i trwało do 7 czerwca. Doskwierały oblegającym głód, pragnienie, znój nadzwyczaj skwarne lata, ale nie tracili męstwa, harce powtarzali nieustannie, często też odpierając wycieczkę wpadali do obozu kozackiego. Śmiałkowie jak Pałowski, Taszycki, Miłkowski i Szymon Denisko przypłacili brawurę życiem, więc inni byli już ostrożniejsi. Wreszcie „obstąpili tabor na koniach i tak przez cały tydzień z koni nie zsiadając, we dnie i w nocy ich strzegli“. I to nie wiele pomogło, aż wkońcu sprowadzono pod osłoną 300 ludzi ciężkie działa z Kijowa. Zaczęło się tedy 4 czerwca ostrzeliwanie i trwało dwie doby bez przerwy.

Jeżeli ciężko było oblegającym, to cóż dopiero mówić o obleżonych! Dola ich zaiste okropna! Zabrakło wody, więc pili błoto wydobywane z kopaczek, zabrakło paliwa, więc wozy rozbijali na drzazgi, zabrakło mąki, soli, a co ważniejsza paszy dla koni, które padały secinami. Niewiasty, acz wytrwałe, traciły siły i umierały, drobiazg konał co chwila. Trupów nie grzebano, ulegały rozkładowi, zatrzymywały powietrze. Dodajcie do tego wszystkiego palące słońce we dnie, ciągły niepokój w nocy, nieustanne wytężenie umysłu dla odwrócenia fortelu Lachów, nieustanne zużytkowanie sił fizycznych dla obronienia tego kawałka ziemi, tych kilku dni okropnego życia — a będziecie mieli choć słabe wyobrażenie o stanie obleżonych. Cierpieli oni niewysłowione męki, za wszystkie grzechy przeszłości była to kara, stokroć od samych grzechów straszniejsza. Większe atoli niż fizy-



czne były moralne dolegliwości, wynikające z niezgody. Kłóciła się ze sobą starszyna, waśnił się motłoch, brat zabijał brata, szczęśliwy jeszcze, jeżeli kula z obozu polskiego zabłąkana, kładąc jednego z nich trupem, smutne posłannictwo rozjemcy pełniła. A tu płacz niewiast podobniejszy do ryku tygrysic, skomlenie i jęki dziatwy głodnej i palonej pragnieniem. Często ojciec własne niemowlę mordował. Dzikość, wściekłość posunięta do ostatecznych krańców zapanowały pośród tej rzeszy. Zdarzyło się, że obleżeni pochwycili żywcem dwóch towarzyszy, zaraz też z pewną uroczystą ostentacją wprowadzili ich na wał i rozsiekali w oczach widzów polskich w drobne kawałki, za co hetman pierwszych dwóch pojmanych Kozaków kazał ściąć i potem ćwiartować. Głowy skazańców sterczały na wysokich żerdziach, a obok nich strzępy ludzkiego ciała czerniejące na słońcu.

Rada kozacka zamiast skutecznie odpierać nieprzyjaciela, trawiła czas na sporach, utworzyły się dwa stronnictwa w taborze — Niżowców i wolnicy, albo Łobody i Nalewajki. Ostatnie silniejsze, energiczniejsze wzięło górę, zamordowało atamana Zaporozców i obrało na jego miejsce Krępskiego. Nie polepszyło to stanu rzeczy, odsieczy niskąd, pomocy niskąd, a za wałami czujny przeciwnik, coraz ciśniejszym pierścieniem opasujący zbuntowanych. Umyślili więc znowu wystąpić z prośbą o przebaczenie.

— Dobrze — mówił Żółkiewski wysłańcom — ale wydajcie Nalewajkę, wydajcie hersztów co przedniejszych a także poddanych, którzy zbiegli z majątków pańskich.

— Nie, tego nie uczynimy — odpowiedzieli mu zaszczeni Kozacy.

Już 6 czerwca wieczorem postanowił hetman spieszyć część jazdy polskiej, by przy jej pomocy nowy atak wykonać. Noc całą wszystko czuwało w obozie, wodzowi szło o to, żeby ani jednego człowieka nie wypuścić z taboru. Tymczasem w taborze kozackim nastał „dzień sądny“! Nalewajko na czele pułku, złożonego z najodważniejszych



i wypróbowanych towarzyszków, zamyślał przebić się w step, ale mu Kozacy zabiegli drogę.

— Nie puścimy, wołano zewsząd, tyś nas doprowadził do tego nieszczęścia (*tycha*), więc je wspólnie dźwigaj.

O brzasku chorągwie polskie bez oporu prawie zajęły obóz... i... wówczas to odegrał się ostatni akt krwawego dramatu. Z 10.000 osób płci obojej ledwie 1.500 uszło pod wodzą Krępskiego, i to za wyraźnym zezwoleniem hetmana, reszta padła od miecza. P. Kulicz, Rusin, Kozak z tradycyi i przekonań, malując obraz pełen grozy, z sercem przepelnionem goryczą, woła: „Straszne sceny, straszny zasiew nieprzejednanej nienawiści w przyszłości! Czemże mógł być drobiazg uratowany z Sołonickiego pogromu, jeżeli nie ludźmi, których zadaniem, według słów Kadłubka, stawało się nasycenie wściekłej zemsty w krwi polskiej! Pod Łubnami, na Sołonicy porodzili się owi straszliwi rycerze Chmielniczczyny! Pod Łubnami na Sołonicy Lachów opanował ów szal, jaki opanowywa człowieka na widok zamordowanego brata“.

Ale dopowiedzmy do końca straszną historiją, Nalewajko, Szostak, Sawuła, Pończocha, Mazepa — skrępowani sznurami leżeli u nóg zwycięzcy; dostały się mu nadto działa, chorągwie, buława, trąby i kotły srebrne; w kasie ledwie 4.000 zł. znaleziono. „Kiedy przyszło do powrócenia szkód żołnierzom naszym poczynionych, wielki rozruch powstał. Nasi twierdząc, że niedostatecznie zaspokojeni zostali, zaczęli obdzierać Kozaków; hetman kilkadziesiąt osób ukarawszy, rozruch uspokoił“.

Powrót był tryumfalny, ale zostawał jeszcze niedokończony rachunek z Kasprem Podwysockim, który na czele czajek kozackich uwijał się po Dnieprze i palił wioski okoliczne. Podwysocki jednak upokorzył się i cofnął za porohy, gdzie już od lat 15 stale przebywał. Jednocześnie wysłannicy hetmańscy, zatrzymani przez Niżowców w niewoli przed dwoma miesiącami, zostali wypuszczeni i stawili się w polskim obozie.

---



W kilka tygodni po opisanych wyżej zdarzeniach w piękny dzień lipcowy, ruch niezwykły panował we Lwowie. Zjechał tu stary hetman koronny na spotkanie swego pomocnika, przyjaciela i wychowawca. Witał zwycięzcę publicznie, ten na czele niewielkiego orszaku wkraczał do miasta, niesiono przed nim chorągwie na Kozakach zdobyte, a ofiarowane im przez cesarza Rudolfa II, arcyksięcia Maksymiliana i ks. Siedmiogrodzkiego. Za trofeami postępowali pod eskortą Przerębskiego więźniowie zakuci w łańcuchy. Smutny ten pochód rozpoczynał olbrzymi, barczysty mężczyzna, hardy i dumny, niepożyty w nieszczęściu — był to Nalewajko, obok niego jak karły wyglądali jego towarzysze. Przechodząc koło katedry, zawołał z pogardą: „O świątynio, świątynio! Ołtarze twoje stałyby się żłobami, albowiem byłbym cię w stajnię zamienił“.

W Warszawie trzymano Nalewajkę jeszcze dziesięć miesięcy. Z prawdziwie inkwizytorską subtelnością badali sędziowie watażkę. Szło im o wyznanie winy i o współników. Jak gdyby przeszła swawola nie była dostatecznym jego zbrodni świadectwem! Wkońcu ścięty został na Nalewkach 11 kwietnia 1597 roku. Spólnicy jego wcześniej głowę pod topór oddali. Autor Burkułabowskiej kroniki utrzymuje nawet, że Sawułę i Pończochę ćwiartowano w Łubnach.

Legiendy ludowe ubrały zgon watażki w dziwne i straszne szczegóły. Na Ukrainę przywędrowała wieść, to że go w miedzianym byku spalono, to że był wsadzony na rozpalonego żelaznego konia. Dawniejsi historyografowie zapisali to skrzątnie w swych uczonych dziełach, niby z wiarą w czyn spełniony.

A rodzina watażki? Pop Damian wyniósł się cichaczem na Litwę, został protojerejem przy cerkwi wileńskiej, a pod koniec życia dopiero wrócił do Ostroga i umarł tu w 1627 roku. Dzieci nie miał. Potomstwo tylko spokojnego kuśnierza bujnie się rozrosło, ubodzy to wszystko mieszczaństwo; jeden z synów Misno, parkannik, był około 1620 r. dziesiątnikiem w Połonnem.



Szlak Nalewajki jeszcze w zeszłym stuleciu egzystował, przynajmniej urywek jego, który się ciągnął od wsi Żurawki do Korsunia.

Tyle tylko pamiątek po znakomitym dowódcy, woinicy wołyńskiej. Kresy odtąd dzięki energii Żółkiewskiego, przez całe ćwierćwiecze zaznawały spokoju.

---



## ŹRÓDŁA.

---

*Bielski Joachim*, Dalszy ciąg kroniki polskiej, wydanie Sobieszczańskiego. Warszawa 1851 r., od s. 200 do 281.

*Rajnold Hejdensztejn*. Dzieje Polski. Petersburg 1857, T. II, ks. XI. s. 361—378. Oba powyższe dzieła, to jedyne źródła, z których czerpali wszyscy autorowie życiorysu watażki wołyńskiego.

Listy Stanisława Żółkiewskiego. Kraków 1868; nieoceniony materiał do dziejów epoki, szczególnie listy od 17 listopada 1593 r. do 30 lipca 1596 r. (od n. 21 do 56). Już z nich widzimy plastycznie, jeżeli się tak wyrazić można, że owo hetmaństwo Zaporozców, tak dynastycznie przez naszych i nienaszych traktowane pisarzy, było po prostu, atamanowaniem, dowództwem nad pewnym oddziałem wojska, wcale nie dożywotnie piastowaniem, ale zmieniającem się pod wpływem okoliczności. Tak i tutaj, w chwili rozpoczęcia zapasów Żółkiewskiego z Kozakami, hetmanem Zaporozców tytułuje się Hrehory Łoboda, za takiego uznany przez stany Rzeczypospolitej („starszy nad wojskiem zaporoskiem“); jednocześnie z nim Nalewajko przywłaszcza sobie ten tytuł („Zaporoskij hetman“); a choć obydwaj nie abdykują, Sawuła dowodzący armatą, hetmanuje, i pod Białocerkwią przekazuje hetmaństwo Nalewajkowi, a po uskromieniu swawoli, znowu mamy a raczej znamy dwóch watażków Niżowych, Krępskiego i Krzysztofa Nieczkowskiego, jednocześnie funkcjonujących. Hetmaństwa więc nie należy brać w znaczeniu królewskość. Jeszcze drobny dodatek — dowiadujemy się z tych listów właściwego imienia watażki wołyńskiego („Semerij“).



- Bielowski*. Pisma St. Żółkiewskiego. Lwów 1861 roku s. 147—153. Jedyne list hetmana z obozu nad „Sapohem“ właściwie powinno być „Supojem“; już to wogóle grzeszymy co do nazw miejscowości ukraińskich.
- Bielowski*. Łoboda i Nalewajko. Tygodnik Ilustrowany r. 1861 N. 117 i 118; autor w rządzie innych źródeł, korzystał i z rękopiśmiennej pracy *Pszonki* p. t. *Res memoriae dignae*.
- Archiw Juhozapadnoj Rossii. — Akty o Kozakach. (1500—1648). Cz. III, T. I. Kijów 1863 od s. 66 do s. 141.
- Archiw Juhozapadnoj Rossii. — Akty odnoszące się do historii prawosławnej cerkwi. (C. I. T. I). Kijów 1859 (Z uwzględnieniem przemowy Iwanyszowa od s. 1 do LXXVI).
- Kostomarow*. Istoriceskia monografii. — Petersburg 1867 s. 238—281.
- Kulisz*, Istorija Wozsojedinienia Rusi 1874. Moskwa T. II. s. 51—140. Na końcu tego tomu są cenne dopiski mianowicie listy z obozu Łobody z pod Baru do ks. K. Ostrońskiego, listy samego Łobody do wojewody kijowskiego i tego ostatniego do Radziwiłła z krótkim opisem zapasów kozackich z wojskami polskimi na Wołyniu p. t. Początek tragedii. Znajduje się tutaj i pozew ks. Ostrońskiemu o podymne.
- Kulisz*, Materyały dla Istorii Wozsojedinienia Rusi. Moskwa 1877, T. I. zawiera w sobie kronikę Burkułabowską, a w niej szczegóły popisów Nalewajki w Mohylewie i wogóle na Białorusi od s. 45 do 89.
- Zbiór pamiętników do dziejów polskich, wydanych przez *Platera*. Warszawa 1858 T. II. s. 214—219, jest tu list Nalewajki do króla Zygmunta III, w którym nie mało szczegółów do życia watażki.
- Volumina Legum*. Petersburg 1859, T. II. s. 344.  
Inwentarz Anno D. 1620 przez Rewizorów spisany dla podziału między córkami X. Aleksandra Ostrońskiego rękopism, vid. Zamek Połoński.
- Opis aktowej knihi Kijewskaho Centralnaho archiwa, oznaczennoj po spisku onaho pod N. 1 (Kijów 1869 s. 8) pod N. 8 (1869 s. 67) i pod N. 9 (1872 s. 48). Są to suche tytuły spraw zarejestrowanych w księgach grodzkich „potocznych i zapisowych“, dużo rzucające światła na miejscowe stosunki. Gdyby je miał



Bartoszewicz, pewnieby uniknął błędów popełnionych w życiorysach ks. Rożyńskich. (Encyklop. Orgelbr. XXII. s. 440 — 444), a jednak nikt u nas nie był takim znawcą dziejów ukraińskich jak autor wyżej wzmiankowany, co więcej, do dziś, pomimo usterek, następcy Bartoszewicza nie znajdujemy w naszym piśmiennictwie. Broszur takich wydała dotąd komisya kijowska 33, przeważnie XVII i początku XVIII dotyczących wieku; wielka szkoda, że w handlu wcale ich niema; a powtarzamy raz jeszcze, że do dziejów rodzin jest to materyał niewyczerpany.

*Rulikowski.* Dawne drogi i szlaki na prawym brzegu Dniepru i ich historyczne znaczenie. (Ateneum, Warszawa 1878 r. IV. s. 76).

